
GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 156

STYCZEŃ-MARZEC

2022



KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław).

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa : www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82*

PKO BP I O. Poznań

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Na okładce: Busk – pałac hrabiów Badenich – przed 1918 r., pieczęć magistratu miasta Busk – lata 30. XX w.

SPIS TREŚCI

Komunikat Poznańskiego Oddziału TMLiKPW z dnia 26 II 2022.....	s.1
Tadeusz JÓŻKÓW	
Moje wspomnienia (cz. IV – pierwsze spalenie Deryłoz).....	s. 2
Bruno BROŻYNIAK	
Dzieciaki na wojnie. Wspomnienia czortkowianina (cz. III)....	s. 11
Jerzy STOPA	
Mój Ojciec Józef (cz. IV - ostatnia).....	s. 16
Bogusława DUSZKIEWICZ, Kazimierz ORLICZ	
Wspomnienie o deportacji z Podola ze Strusowa pow. Trembowla do Kazachstanu (cz. II).....	s. 25
Eugeniusz JAWORSKI	
Mieszkańcy pochodzenia żydowskiego w Kretowcach i Hrycowcach pow. Zbaraż	s. 32
Igor MEGGER	
Z dziejów Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Busku (pow. Ka- mionka Strumiłowa) (cz. I).....	s. 35
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. II – Leopold Buczkowski	s. 40
Marek SZPYTKO	
Wędrówki po Kresach (cz. IV - ostatnia)	s. 43
Igor MEGGER	
Idzie nowe... - IX Zjazd wyborczy TMLiKPW zakończył obrady.....	s. 44
Z ŻAŁOBNEJ KARTY : Ś.P. Anna Madej, Ś.P. Maria Ohde, Ś.P. Kry- styna Adamczuk, Ś.P. Władysław Ostrowski, żegnamy zmarłych prenu- meratorów, żegnamy zasłużonych krajan z naszego województwa ...	s. 48
Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA	
Żegnamy zmarłych członków TMLiKPW w Poznaniu w 2021 roku	s. 52
Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA	
Działalność poznańskiego Oddziału TMLiKPW w 2021 roku	s. 54
Stanisław ŁUKASIEWICZ	
Sprawozdanie z przebiegu XXXVII akcji charytatywnej „Serce dla Lwowa” w 2021 roku	s. 60
REDAKCJA	
Komunikat ws. statuetki „Semper Fidelis” na rok 2022.....	s. 66
Rozwiązanie krzyżówki z nr 155.....	s. 67



**Komunikat zarządu
Poznańskiego Oddziału TMLiKPW
z dnia 26 II 2022**

Wstrząśnięci atakiem Rosji na Ukrainę, który rujnuje znany nam porządek i bezpieczeństwo w Europie, wyrażamy solidarność z naszymi Rodakami i Przyjaciółmi z Ukrainy. Nie możemy zrozumieć dążeń imperialistycznych państwa i narodu, który sam tyle wycierpiał na skutek wojny. Wielu z nas pamięta ostatnią wojnę i nie możemy uwierzyć, że tego demona znowu ktoś obudził.

Rodacy i Przyjaciele!

W tych strasznych chwilach pamiętamy o Was w modlitwie. Nasze serca i myśli są przede wszystkim z Wami. Wierzymy, że dzień, w którym znów spotkamy się we Lwowie nadejdzie szybko. Ale gdyby tak się nie stało, to jesteśmy gotowi nieść pomoc w Poznaniu. Prosimy Was, kochani, o bieżące informacje ze Lwowa, Szczerca, Nowego Rozdołu, Rohatyna, Brzeżan, Czortkowa, Tarnopola i in.

SEMPER FIDELIS!

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Pd-Wsch Oddział w Poznaniu organizuje zbiórkę pieniędzy na pomoc Polakom we Lwowie i okolicach. Wszystkie zebrane pieniądze trafią bezpośrednio do naszych rodaków. W związku z prowadzoną od 30 lat akcją charytatywną SERCE DLA LWOWA mamy regularnie uaktualniane dane i adresy najbardziej potrzebujących. Chcących pomóc, w tym tragicznym dla Ukrainy czasie, prosimy o wpłaty na nasze konto, z dopiskiem „Pomoc dla Lwowa”:

PKO BP: 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Gdy zakończymy akcję, na naszej stronie internetowej ukaże się sprawozdanie, tak samo, jak jest z akcji świątecznej „Serce dla Lwowa”.

Wszystkim ofiarodawcom z góry dziękujemy.

Oprócz zbiórki pieniężnej, w porozumieniu ze Stowarzyszeniem Odra-Niemen, uruchomimy również zbiórkę darów. Miejsce zbiórki oraz godziny dyżurów podamy w najbliższych dniach na naszej

stronie www.lwowiacy.pl lub osobom chętnym telefonicznie (trwa poszukiwanie dogodnej lokalizacji).

Pierwsza bezpośrednia relacja ze Lwowa od jednej z zaprzyjaźnionych osób:

„U nas jest umiarkowanie, trzymamy się, ulice puste, samochodów mało, transport miejski w zmniejszonej ilości działa. Sklepy spożywcze też jako tako na razie zaopatrzone, paniki nie ma, ale wszystko jest w stanie gotowości, ale to nie film, emocje ponoszą. Jesteśmy dobrej myśli, polecamy się Bożej opiece, trwamy. Dziękujemy za troskę i wsparcie. Pozdrawiamy Was serdecznie”.

Za Zarząd
Katarzyna Kwinecka – prezes

*Tadeusz Józków
Milicz*

Moje wspomnienia

Cz. IV – pierwsze spalenie Deryłoz

Rodzice w przekonaniu, że banderowcy wycofają się wraz z uciekającymi Niemcami na zachód, wrócili do Deryłoz, ale się pomylili, stąd wniosek, że banderowcy czekali na nasz powrót, bo mord w Celejowie miał miejsce już „za Ruskich”, jak to wtedy mówiono. Był to początek końca Deryłoz.

Przypominam sobie, choć bardzo słabo, że Ojciec opowiadał o innych „nocnych odwiedzinach” zimową porą na przełomie lat 1943/1944, które zobligowało moich Rodziców do ucieczki z Deryłoz. Każdej niemal nocy można się było spodziewać „nieproszonych gości”. Różni ludzie przechodzili przez Deryłozy w kierunku Zbrucza i na odwrót, jak to nieraz Ojciec opowiadał. Pewnej nocy przyszli „partyzanci” – niby rosyjscy, rozmawiali różnie: po rosyjsku, żydowsku, ukraińsku. Podali hasło. Ojciec wpuścił ich do mieszkania, dał trochę wódki, a przy okazji zabrali Ojca dwa garnitury, które przywiózł sobie z Kanady, oraz zegarek kieszonkowy, też przywieziony przez Ojca z Kanady. Kazali się mu ubierać i

przeprowadzić ich do rzeki Zbrucz. Doszli do jakiejś drogi, przez którą akurat jechała kolumna wojskowa, a owi „partyzanci” chcieli przez tę drogę przejść. Początkowo posądzali Ojca, że celowo ich wprowadził w ręce wojsk niemieckich, ale na szczęście skończyło się na strachu. Kolumna wojskowa przejechała, a oni przeszli przez drogę. Ojciec szczęśliwie powrócił do domu z tej „wyprawy wojennej”. Ojciec jako żołnierz Batalionów Chłopskich nosił pseudonim „Zbrucz” i był przewodnikiem partyzanckim przez rzekę, ale kto mógł wiedzieć, kto jest kim: podają hasło i to wszystko, co o nich Ojciec wiedział.

A z tym zegarkiem to było tak. Na odchodne jeden z owych „partyzantów” zapytał Ojca: „która godzina?”. Ojciec odruchowo wziął zegarek do ręki, a był to kanadyjski zegarek kieszonkowy. Powiedział: „dochodzi czwarta” czy coś w tym rodzaju. Ów „partyzant” wziął zegarek do ręki od Ojca i powiedział po rosyjsku: „wot choroszyje czasy” i schował zegarek, ale do swojej kieszeni.

Tak się Ojciec „dorobił” na swojej łatwowierności. Za jednym zamachem stracił dwa garnitury, zegarek i wiele innych wartościowych przedmiotów, przeważnie pochodzenia kanadyjskiego. Bo jak sobie przypominam, Mama mówiła, że wszystko wyrzucili ze skrzyni na ziemię i to, co im się tylko spodobało, to zabrali. W taki to sposób Rodzice stracili znaczną część swego dobytku. Niewiele brakowało, a Ojciec straciłby życie. Co w tym czasie Rodzice, a zwłaszcza Mama, przeżywali, to sam Pan Bóg tylko wie, a zwłaszcza w tym czasie, gdy Ojciec ową „partyzantkę” prowadził w kierunku Zbrucza.

Biorąc słowo partyzantka w cudzysłów, pragnę pokazać, jak się zachowywała tzw. „radziecka partyzantka”, bo jak później Ojciec opowiadał, mówili oni wieloma językami, w tym i po żydowsku. Jak to się ma do tego Żyda, któremu moi Rodzice udzielili schronienia podczas oblawy na nich w Deryłozach w lutym 1943 roku?

Wracamy do Deryłoz. Według moich obliczeń było to około 20 marca 1944 roku. Karol Mikulski częstuje nas wywarem z buraków cukrowych, który był zabieleny mlekiem. Zapamiętałem, że był to bardzo smaczny napój. Po kilku dniach z niedzieli na poniedziałek

przyjechali banderowcy od strony Celejowa, a było to około godziny 22:00, jak opowiadała mi pani Franciszka Podhorodecka z domu Niedzielska – żona Władysława Podhorodeckiego z Deryłoz, bo widziała przez swoje okno, jak banderowcy jechali do Deryłoz. Po chwili widać już było ogień palących się Deryłoz.

Franciszka i Władysław Podhorodeccy brali ślub w lutym 1944 roku, gdy moi Rodzice byli w Chorostkowie, a po ślubie zamieszkali u rodziców Franciszki. Ich dom był na skraju wsi Celejów od strony Deryłoz, dlatego było widać pałacę się Deryłozy.

Banderowcy jadąc z Celejowa do Deryłoz, zatrzymali się przed domem Niedzielskich, a był to dom polski. Oświetlili go latarkami i pojechali dalej, palić Deryłozy. Po chwili domownicy zobaczyli palące się Deryłozy, ale tylko polskie zabudowania, w tym moich Rodziców, Stroblów i Podhorodeckich, teściów Franciszki Podhorodeckiej. Stanisław Podhorodecki – brat Władysława, mieszkał z żoną, córką i matką na ojcowiznie w Deryłozach. Jego żona to Zofia z domu Gajda z Celejowa.

Na szczęście nikt nie zginął, bo nikt oprócz rodziny Stroblów nie nocował w domu. Był to nowo wybudowany dom mieszkalny, o czym już wcześniej pisałem. Właściwie był to wielki cud, że nikt nie zginął, a zwłaszcza w domu Zofii i Michała Stroblów, bo w tę tragiczną noc u Stroblów oprócz domowników nocowali: mój Ojciec i Stanisław Podhorodecki, a z domowników córeczka Stroblów, dwuletnia Danusia, i ojciec Michała, Karol.

Dom Stroblów został wybudowany jesienią 1943 roku. Była to pierwsza ich zima we własnym domu. Miał on już dodatkowe zabezpieczenia, okiennice i podziemne przejście pomiędzy budynkami wraz ze schronem. Było to zabezpieczenie przed banderowcami, o którym wiedzieli tylko domownicy. Jak już pisałem, mężczyźni nocowali u Stroblów, natomiast kobiety z dziećmi u stryjostwa Anny (z domu Pawziuk) i Mariana Józków. Ich dom był (jak to dawniej mówiono) murowany i kryty blachą, a dom moich Rodziców był kryty gontem. Stryjenka była Ukrainką i chyba dlatego banderowcy tam nie weszli. Tego dnia, a była niedziela, Mama była chora i chciała nocować w domu, ale starsza moja siostra Czesława (lat 8)

zaczęła płakać, przy tym wypowiedziała znamienne słowa: „...ja samą Mamę nie zostawię, ja zostaję z Mamą...!” Tymi słowami Czesława uratowała Mamę od śmierci z rąk banderowców. W tej sytuacji Ojciec zaprzął konie do sań i odwiózł nas na noc do stryjostwa, około 500 metrów na północ od naszych zabudowań. Pamiętam, że Rodzice ciągle powtarzali: „...Cesia swoim dziecinnym płaczem uratowała Mamie życie...” Ja miałem niespełna lat 7, a młodszy brat Jan Kazimierz lat 3.

U stryjostwa oprócz domowników, bez stryja Mariana i ich starszego syna Stanisława (lat 14), w tę tragiczną noc nocowali oprócz nas Podhorodeccy – Bronisława, jej synowa Zofia i roczna wnuczka Stanisława – chyba najmłodsze dziecko urodzone w Deryłozach. Z domowników była stryjenka, jej najstarsza córka Zofia (lat 19), oraz dwóch młodszych synów: Michał (lat 5) i Roman (lat 2).

W tę tragiczną marcową noc roku 1944 z niedzieli na poniedziałek w Deryłozach nie było ani Karola Mikulskiego, który podobno był u swojej ciotki w Myszkowcach, ani stryjecznego stryja Mariana z synem Stanisławem, który był u swoich teściów – Ukraińców w Chorostkowie. Na wieść o pożarze w Deryłozach, wczesnym rankiem obaj tam się zjawili. Dla jasności podaję, że Marian Józków to stryjeczny stryj mego Ojca, a Zofia Strobel (z domu Woronczak z Chorostkowa) to rodzona siostrzenica Mariana Józków.

Ale wróćmy jeszcze raz do tej tragicznej marcowej nocy z niedzieli na poniedziałek roku 1944. W Deryłozach spłonęły trzy zabudowania polskich patriotów: Franciszka Józków, Michała Strobla, Stanisława i Władysława Podhorodeckich. Wszyscy byli członkami Strzelca w Celejowie. Marian Józków też, pomimo że jego żona była Ukrainką i to dość nieprzychylną Polakom. Ślub wzięli w 1924 roku, a w Deryłozach zamieszkali od 1928 roku, ale wtedy to jeszcze takiej nienawiści do Polaków nie było ze strony Ukraińców.

Mój Ojciec był prezesem Strzelca w Celejowie od początku do 1939 roku. Marian Józków był skarbnikiem, a Michał Strobel od 1936 roku do końca był komendantem i to dość aktywnym. Natomiast bracia Stanisław i Władysław Podhorodeccy byli szeregowymi członkami Strzelca, ale bardzo aktywnymi.

Jak to zwykle bywa, ci, co walczyli o Wolną Polskę, to i dziś nie mają lepiej. Marian Józków zginął na wojnie pod Warszawą w 1944 roku w szeregach Wojska Polskiego. Był to chyba sierpień, a jego żona jako Ukrainka, pomimo że trzej synowie po mężu to Polacy, pozostała w Chorostkowie, dokąd wyprowadziła się z Deryłoz.

Z Celejowa do Deryłoz jedzie się na północ. Po prawej stronie, czyli od wschodu, widać nieduży las poprzecinany łąkami, który od północy graniczy z gminą Horodnica. Te lasy i łąki to wieś Myszkowce – własność hrabiów Gołuchowskich (ordynacja Probużna). Horodnica natomiast była własnością książąt Jabłonowskich (ordynacja Jabłonów).

Strumyk, który rozgraniczał naszą łąkę od łąki stryja Mariana, wypływał spod Chłopówki, przepływał przez Uwisłę, Deryłozy (czyli z północy na południowy wschód) i w Celejowie wpadał do rzeki Tajna, która wypływała od północnego zachodu względem Celejowa ze wsi Iwanówka (Plebanówka), dawny powiat trembowelski. Rzeka Tajna przepływa przez Howiłów Wielki i Mały, Chorostków, Chłopówkę, Celejów, Myszkowce, Niźborg Stary, Samołuśkowce, a w Liczkowcach wpada do rzeki Gniła, a ta z kolei do Zbrucza. Chociaż niektórzy twierdzą, że Tajna wypływa na północ od Chorostkowa, za wsiami Howiłów Wielki i Mały lub za małą wsią Łozówka (Łazówka) i dużą wsią Jewanówka, ale to w tym kontekście nie ma większego znaczenia.

Około godziny 22.00 psy zaczęły głośno ujadać. Kobiety będące w domu stryjostwa podeszły do okna. Patrzą i widzą trzy płonące polskie zabudowania. Chwila grozy. Co dzieje się u Stroblów i czy dojdą do nas? Nie doszli i dzięki Bogu żyjemy, ale tragedia rozegrała się jednak w domu Stroblów. Dom spłonął doszczętnie. Domownicy skryli się w tzw. piwnicy-schronie, do którego było wejście od wewnątrz budynku. Zofia i Michał wraz z dwuletnią córeczką Danusią cudem przeżyli.

Pozostali mężczyźni, w tym mój Ojciec i Karol Strobel, wówczas lat 58 – ojciec Michała (nie wiem, co się działo ze Stanisławem Podhorodeckim, ale przeżył. Został zamordowany 17 grudnia 1944 roku w Celejowie), doczołgali się do stryjostwa. Gdy dom groził

zawaleniem się, a w piwnicy-schronie nie było na tyle miejsca, aby się wszyscy mogli zmieścić, postanowili bruzdami, w białiznie (a było to około 800 metrów na północ od zabudowań Stroblów), szukać ratunku ucieczką. Po drodze, od strony wschodniej, mijali zabudowania Ukraińca, Andrzeja Smala – w owym czasie nieprzejednanego wroga Polaków. Podobno po tym pożarze, wraz ze swoim zięciem, Pawłem Podolskim zmienił zdanie. Był to sąsiad moich dziadków po Ojcu z Chorostkowa, na Wybranówce przy ulicy Zarnickiej. Jego dom znajdował się w kierunku wschodnim od studni, z której wszyscy brali wodę, po tej samej stronie co wujostwo Anny i Jana Broszczak (trzeci dom od wujostwa na wschód). Jego żona była Polką o nazwisku rodzowym Bobiak, rodem z Howiłowia, a córki były ochrzczone w obrządku rzymskokatolickim (czyli były Polkami). Dwie córki Smalów z Deryłoz były strzelczyniami w Celejowie, gdzie mój Ojciec był prezesem. Katarzyna Smal była nawet komendantką strzelczyń, a najstarsza Zofia była żoną Pawła Podolskiego – Ukraińca polskiego pochodzenia – syna Matwija Podolskiego z Deryłoz, też wroga Polaków, rodem z Chorostkowa. Żona Stanisława Podhorodeckiego, Zofia z domu Gajda, wraz z roczną córeczką Stanisławą i matką męża – Bronisławą Podhorodecką, czyli teściową, też nocowali u stryjostwa wraz z pozostałymi kobietami. Gdy Karol Strobel i mój Ojciec doczołgali się pod zabudowania stryjostwa, a czołgając się, mijali po drodze dopalające się zabudowania nasze i Podolskich, zaczęli stukać do drzwi wejściowych, ale kobiety, przerażone tym, co widziały przez okno, z obawy, że to banderowcy, nie otworzyły, tym bardziej że usłyszały dwa strzały karabinowe. W konsekwencji obaj w samej białiznie przesiadeli w krzakach do samego świtu, a była to marcową noc 1944 roku. Dopiero gdy zaczęło świtać, ponowili stukanie do drzwi. Po kilkugodzinnym pobycie w marcową noc tylko w samej białiznie wreszcie wpuszczono ich do domu i cudem odratowano. Mój Ojciec stracił zęby, bo nosił protezy, które spłonęły wraz z domem Stroblów. Ojciec na noc wyjmował je i wkładał do pojemnika z wodą. W konsekwencji Ojciec poszedł na wojnę bez zębów, co mocno

odbiło się na jego zdrowiu. Nabawił się choroby wrzodowej żołądka.

Nieco później wszystko w miarę uspokoiło się, a banderowcy odjechali, zabierając ze sobą jedynie naszą świnie i jałowkę, którą wcześniej zastrzelili. Były to właśnie te strzały, które tak mocno przestraszyły nocujące u stryjostwa kobiety. Pozostała trzode, świnie, drób, krowy i konie sąsiedzi Ukraińcy przez drogę od strony wschodniej wypuścili na zewnątrz zabudowań gospodarczych. Dzięki temu uratowała się część naszego dobytku, bo banderowcy z reguły żywy inwentarz palili żywcem. Gdy Ojciec doszedł do siebie, udał się na swoje pogorzelsko. Zastał tam Pawła Podolskiego, Ukraińca polskiego pochodzenia, zięcia Andrzeja Smala, dogaszającego nasz budynek mieszkalny. Było to wielkie zaskoczenie ze strony Ojca, gdy zobaczył, jak ów Ukrainiec, wczorajszy nieprzejednany wróg Polaków, a raczej jeden z groźniejszych wrogów moich Rodziców, dogasza nasze pogorzelsko. Może wreszcie zrozumiał, do czego prowadzi ślepa nienawiść.

Paweł Podolski – syn Matwija – to Ukrainiec polskiego pochodzenia rodem z Chorostkowa. Jego matka też była Polką o nazwisku rodowym Wiśniowiecka, ale już ochrzczona w obrządku grekokatolickim. Za czasów II RP służył w Wojsku Polskim, w artylerii polowej w okolicach Łodzi. Jego żona po matce też była Polką. Ślub brali w kościele parafialnym obrządku rzymskokatolickiego w Horodnicy w latach 30. XX wieku, bo moi Rodzice, jako sąsiedzi Smalów, byli na ich weselu. Stąd wniosek, że ktoś z przodków rodziny Podolskich ochrzcił swoje dzieci w obrządku grekokatolickim, być może z przyczyn technicznych i tak już zostało.

Podolscy to Polacy z Chorostkowa i to bardzo wierni swojemu polskiemu pochodzeniu i obrządkowi rzymskokatolickiemu. Do Deryłoz przybyli na przełomie lat 30. XX wieku. Matwój Podolski wraz z rodziną przybył do Deryłoz na przełomie lat 30. Miał trzech synów: Pawła, Aleksandra i Eliasza. Paweł to zięć Smalów z Deryłoz. Eliasz podobno ożeniony był z Polką w Chorostkowie, natomiast Aleksander ożeniony był w Celejowie. Jego żona miała na imię Maria, została zamordowana przez banderowców, ponieważ

nie chciała się zgodzić, aby ich syn Jan (ur. w 1925 roku) przystąpił do banderowców. Drugi ich syn to Michał, urodzony w 1929 roku. Nie udało się ustalić nazwiska rodzowego Zofii Podolskiej.

Trzeba tu wspomnieć, że w Celejowie była cerkiew, a nie było kościoła dla Polaków. Wszystko trzeba było tworzyć od nowa. Tym zajmował się mój Ojciec, a spalenie Deryłoz była to zemsta na Polakach za ich patriotyzm.

Gdy z Mamą zeszedliśmy z góry, czyli od stryjostwa, niestety już tylko na nasze pogorzelisko, po przybyciu Karola Mikulskiego z Myczkowiec, gdzie nocował tej tragicznej nocy, Rodzice postanowili ponownie wyjechać do Chorostkowa. Pozostawiwszy dorobek swojego życia, ale już jako pogorzelisko, ponownie pod opieką Karola Mikulskiego wraz z pozostałym inwentarzem żywym uratowanym przez sąsiadów Smalów, trochę uratowanej żywności (ziemniaki w kopcu), zabrali jedynie to, co najważniejsze ze sobą do Chorostkowa. Rodzice dość szybko podjęli decyzję o wyjeździe z Deryłoz do Chorostkowa, tym bardziej że Mama zauważyła, że ktoś nas obserwuje od strony Celejowa, a był to młody chłopak, bo banderowcy pochodzili z Celejowa, w tym chyba jeden z synów Jerzego Pawziuka – szkolny kolega Ojca z Chorostkowa. Starsza siostra Czesława (lat 8), która już lepiej rozumiała, co się z nami stało mioniej nocy w Deryłozach i co się stało z naszym domem, zapytała Mamę: „Mamo, dlaczego oni spalili nasz dom? Gdzie my teraz będziemy mieszkać? Kto nam teraz wybuduje dom?”. Taki był koniec ojcowskiego patriotyzmu i nadziei na lepszą przyszłość we własnej ojczyźnie. Ojciec zaprzął konie do sań, które uratowały się po pożarze, bo były nieco dalej od zabudowań. To był cały dobytek moich Rodziców po 13 latach gospodarowania na swoim w Deryłozach, do których przeprowadzili się w kwietniu 1931 roku z Chorostkowa.

Co działo się później, już po naszej ucieczce do Chorostkowa, tego nie wiem. Zamieszkaliśmy ponownie u stryjostwa, Anastazji i Stanisława Józków na Wybranówce, gdzie byliśmy do 15 maja 1944 roku, czyli do chwili powołania Ojca do Wojska Polskiego i udania się na wojnę.

Z późniejszych rozmów mego Ojca zapamiętałem słowa wypowiedziane przez Niego na temat naszego wyjazdu, a raczej naszej ucieczki z Deryłoz: „Gdy wsiedliśmy do sań, udając się ponownie do Chorostkowa, to nawet nie pamiętam, czy pożegnaliśmy się z sąsiadami...”. W Chorostkowie chyba przez jakiś czas mieszkaliśmy u wujostwa Anastazji i Jana Woroncza – Ukraińca pochodzenia polskiego. Ale trudno jest mi dzisiaj powiedzieć, czy to było podczas pierwszej, czy drugiej ucieczki z Deryło; raczej po drugiej, bo wujek chodził na wagony, na szaber poniemiecki, ale o tym trochę później.

W jednym ze swoich pamiętników Ojciec za pisał: „Jeszcze za czasów pańszczyzny do Chorostkowa zza Sanu przybyły trzy rodziny narodowości polskiej: Woroncza, Sroka i Czarny”. Woroncza i Czarny po osiedleniu się w Chorostkowie zaczęli chrzcić swoje dzieci w cerkwi. Przypominam, że w Chorostkowie cerkiew wybudowano w 1837 roku, czyli jeszcze za pańszczyzny, a kościół w 1854 roku, dlatego część Polaków ochrzciła swoje dzieci w cerkwi obrządku greckokatolickiego. Być może zrobili to z przyczyn technicznych lub nieświadomie. I tak z czasem Polacy stawali się Rusinami, a później Ukraińcami, bo ci, co byli ochrzczeni w cerkwi, chodzili później na naukę religii do cerkwi i tak pozostało.

Z Chorostkowa zapamiętałem, jak Mania szykowała Ojcu suchary, czyli suchy prowiant na wojnę; z chleba, a było tego ze trzy worki, bo widziałem, jak Mama komuś pokazywała i pytała czy starczy, bowiem każdy zmobilizowany, czyli poborowy, musiał mieć własne jedzenie na dwa tygodnie. Ojciec poszedł na wojnę z gminy Horodnica 15 maja 1944 roku, bo Chorostków szedł od 3 do 5 maja. Nim Ojciec wysuszył na front, ponownie zamieszkaliśmy w Deryłozach. Ojciec zdążył wykonać wszystkie wiosenne prace polowe, nad chlewnią i kurnikiem zrobił prowizoryczny, płaski dach, raczej od słońka aniżeli od deszczu i tam Mama trzymała konie i być może krowę, ale tego już dobrze nie pamiętam. Świnie trzymaliśmy w przybudówce u stryjostwa. Nie wiem, czy Ojciec podczas wiosennych prac polowych nocował u kogoś w Deryłozach, czy codziennie dojeżdżał tam końmi, a było to około 8 km. Jak wynika

z opowiadań Ojca, narzędzia rolnicze pożyczał u swego stryjcznego stryja, Mariana Józków z Deryłoz. Cdn.

Bruno Brożyniak
Wrocław

Dzieciaki na wojnie (wspomnienia czortkowsianina)

Cz. III

Rozdział III

Pod znakiem tryzuba

Obok flag niemieckich i znaków swastyki w mieście zaczęły się pojawiać sztandary niebiesko-żółte i znaki tryzuba. Gdy w domu zapytałem, skąd tyle flag, tata filozoficznie stwierdził:

– Syno-żołytyje to narodowe barwy ukraińskie. Będziemy teraz żyli pod znakiem tryzuba, trójzębu, bo hitlerowcy dali trochę autonomii Ukraińcom. Nasi pobratymcy bardzo liczą na przyjaźń Hitlera, ale chyba się mocno rozczarują.

– Dość tego politykowania! Chodźcie na obiad! Dzisiaj zjemy sobie w sadzie pod starym orzechem! – zarządziła mama.

Nas, dzieciaki polskie, przeniesiono do szkółki na drugim skraju miasta. Budynek był marny, nauczyciele też tacy sami. Klepali biedę, natarczywie dopominali się prezentów na swoje imieniny czy urodziny. Oceny też były po uważaniu. Ponieważ do szkoły miałem teraz bardzo daleko, upatrzyłem sobie skrót bocznymi uliczkami przez jeden z jarów, gdzie było parę chat. Kiedy któregoś dnia wracałem tym skrótom, zza płotu wypadł rosły chłopak i zaczął mnie bić nahajem z grubego kabla. Próbowałem się bronić, wyrwać mu nahaj, ale był dużo silniejszy.

– Za co mnie bijesz? Co ja ci złego zrobiłem? – wykrzykiwałem z coraz większym szlochom, bo ręce i głowę miałem już w bolesnych „kielbaskach” – pręgach.

– Ty Lach proklatyj! – krzyknął i przywalił mi jeszcze raz z całej siły.

Zza płotu na to wszystko patrzył ze złośliwym uśmiechem ojciec chłopaka. Obolały, wypłakany do cna, przywlokłem się do domu. Babcia zrobiła mi okłady z jakichś szerokich liści, a mama nakazała chodzić tylko głównymi ulicami. A po paru dniach wziąłem się za konstrukcję samopału. Była to wojenna zabawa starszych chłopaków. Wycinało się z deski lub jakiegoś konaru kolbę pistoletu. Do niej przywiązywało się pustą łuskę karabinową. Wystarczyło potem nasypać trochę prochu, wbić nabój i zapalić. Chłopaki z samopałami urządzały sobie całe bitwy. W czasie takiej bitwy przeciwna „armia” wzięła do niewoli Zdzicha, chłopaka z Kadłuba. Został skazany na rozstrzelanie, bo strasznie wyzywał i wyśmiewał swoich przeciwników. Kiedy go spotkałem, miał na policzku podłużny ślad po pocisku. Dobrze, że nie trafili go w oko. Mnie budowa samopału nie wychodziła, przyciąłem się w rękę, więc poszedłem po pomoc do Staszka Błyszczaka. Była to prawdziwa złota rączka. Gdyby nie wojna, pewnie by został inżynierem. Ponieważ do naszych domów nie był doprowadzony prąd, Staszek zbudował sobie elektrownię wiatrową. Miał dobrze wyposażony warsztat. Gdy mu wyłuszczyłem prośbę, przestrzegł mnie, że ta strzelanina bywa niebezpieczna, bo łuska może się rozerwać. Ale widząc moją żalostną minkę, poszedł do warsztatu i migiem zmontował mi samopał.

– A ty co? Na wojnę chcesz iść? Może strzelać do Niemców, do Ukraińców?

– A może i tak! – odparłem butnie.

I za późno ugryzłem się w język, zapominając iż Staszek jest innej narodowości, niż ja. Twarz mu wykrzywił wściekły grymas, zrobił się jakiś obcy, groźny, zaczął do mnie wykrzykiwać:

– Ciągle to samo – wy polskie pany, a my głupie chłopki, hrycie. A jak który chłopiek podskoczy, to go w łeb, po pańsku! Od sześciuset lat siedzicie nam na plecach. Jesteście tutaj kolonizatorami. Rozumiesz? Kolonizatorami! Ale to się wreszcie skończy! Skończy!

Speszony tymi krzykami, skuliłem się bezradnie, zacząłem pochlipywać:

– Stasiu, ja jestem mały dzieciak, co ty tak krzyczysz na mnie? To mnie sprął na kwaśne jabłko ukraiński chłopak... i to za nic, bo go nie zaczepiałem.

– Może i źle zrobił, ale co wy o nas wiecie, o naszym narodzie, rozumiesz – o naszym narodzie! O naszej kulturze? Czy wiecie, kto to był Taras Szewczenko albo Iwan Franko? Mamy teraz swoją policję, organizuje się nasze wojsko – dywizja „Hałyczyna”, tutaj odraǳa się nasza ojczyzna – Ukraina, rozumiesz?

– Nie wiem, nie wiem, nie rozumiem tego wszystkiego... – bąknąłem skonfundowany i zacząłem dreptać w stronę naszego domu. Gdy już byłem prawie przed bramą, dopadł mnie Staszek.

– Masz tu swój samopał, zobacz, jak ładnie wyszedł. Tylko pamiętaj – trzymaj go przy strzale daleko od buzi. I nie becz, waszą rodzinę akurat lubimy, bo zawsze nas szanowaliście.

Kiedy wspomniałem rodzicom o dziwnym zachowaniu Staszka, tata powiedział:

– On razem z siostrą Olgą należy do ukraińskich nacjonalistów. Już przed wojną działali w spółdzielczości ukraińskiej, która była dla nich oparciem gospodarczym. Nie zaczepiaj go, bo żyjemy w trudnych czasach.

Wysłuchałem tej tyrady i cichutko wysunąłem się z domu daleko za sad. Tam wyjąłem mój samopał i zacząłem strzelać. Huk wystrzałów mnie wzmacniał, dodawał sił i otuchy w czasach, które nie były na rozum dziecka. A w szkole dopytałem się u nauczyciela, że Szewczenko i Franko to utalentowani ukraińscy poeci.

Nie minęło wiele dni, jak do naszego domu wpadł ukraiński policjant. Zachowywał się zaczepliwie, zaglądał do wszystkich pokoi, nerwowo szarpał za bagnet, który miał przy pasie, zaczął ciągnąć mamę do sypialni. Pobiegłem po pomoc do ukraińskiej sąsiadki – Marii Błyszczakowej.

– A wy zwidki przysły? Szczo choczete? Naszy sosidy dobryje ludi – zagadała niezawodna sąsiadka. Na to wszystko weszła babcia, która spokojnie rzekła:

– A może on głodny? I napić się też pewnie zechce.

Mama szybko zorganizowała posiłek, a także karafkę z wiśniakiem. Gdy policjant sobie pojadł i popił, wyraźnie złagodniał. Posiedział jeszcze trochę i na pożegnanie nawet grzecznie powiedział:

– Diakuju! Do pobaczennia!

Kiedy był już przy drzwiach, nagle się odwrócił i wykrzyknął:

– Chaj żywe samostijna Ukraina!

– Chaj żywe! – odparliśmy zgodnie.

Wszystko to stanowiło tylko prolog wydarzeń znacznie gorszych, tragicznych. W okolicznych wioskach zaczęły się zabójstwa Polaków. Banderowcy zabili także pewne młode małżeństwo. Ponieważ byli to nasi krewniacy, mama wzięła mnie do domu żałoby – rodziny nieszczęśników. Przez nieduże mieszkanie przesuwali się kolejni ludzie, składali kondolencje, na łózkach leżały sine trupy dwojga młodych ludzi.

Minęło parę tygodni, gdy przyszedł nasz były pomocnik – Mychajło. Płakał, jak dziecko, gdy zaczął opowiadać o zabiciu jego żony. Przyszli w nocy, wywlekli ją na dwór i zadźgali jedynie za to, że była Polką.

– To była taka dobra dziewczyna! Taka dobra... Po co to wszystko?

– bezradnie powtarzał w kółko z twarzą ściągniętą rozpaczą.

Jakby tego wszystkiego było mało, w Czortkowie przeprowadzono likwidację żydowskiego getta. Jego mieszkańców wyprawiano w kolumnach, które maszerowały szosą na Zaleszczyki. Potem słyhać było strzały z karabinów maszynowych. Rodzice opowiadali, iż spod trupów którejś nocy wygrzebała się młoda Żydówka, którą kula trafiła tylko w nogę. Zakrwawiona, półnaga, dowlokła się do najbliższych domów. Nikt nie wiedział, co się potem z nią stało, czy dobrzy ludzie dali jej schronienie, czy też ponownie trafiła do hitlerowskich oprawców.

W trosce o nasze bezpieczeństwo rodzice wysyłali mnie z braciszkiem do ciotek, zamieszkałych w centrum miasta, w ciepłe noce szliśmy niejednemu raz spać do ogrodu, skryci za zieloną gęstwiną. Mieliśmy w tym wprawę, bo już wcześniej w obawie przed Sowietami, przed wywózkami na Sybir, niejedną noc spędzaliśmy w taki właśnie sposób. Przytuleni do rodziców nadśluchiwaaliśmy, czy

ktoś nie nadchodzi, z nerwowej drzemki budziły nas pohukiwania sowy, nagły szus zająca. Sami też byliśmy jak zające pod miedzą. Mieliśmy w tym wprawę, bo jak wspomniałem już wcześniej, systematycznie uprzedzał nas o zagrożeniach wujek Niwraak, wielce pocziwy Ukrainiec. Wtedy na noc uciekaliśmy z domu w pole – w jakieś krzaki, zagony kukurydzy albo mocno śmierdzących konopi. Bo ruskie wywózki, a za hitlerowców napady, były z reguły wtedy, gdy zapadał mrok.

Po bitwie pod Stalingradem było już coraz bardziej jasne, że Niemcy dostają w Rosji potężne lanie. Rodzice, a także nasi goście, pokpiwali z gebelsowskiej propagandy o strategicznym skracaniu frontu.

– Tak ich skrócą, aż pogonią do Berlina i powieszą Hitlera! – padały komentarze.

Ni stąd, ni zowąd przyplątał się do nas młodziutki niemiecki żołnierz – wychudzony blondynek, chłopak może dwudziestoletni, a może i młodszy. Zapytał, czy może się umyć i przespać. Powiedział, że był ranny i dostał urlaub. Bardzo się zdziwiłem, iż nasz urlop taki bliski niemieckiemu. Gdy żołnierzek sobie odpoczął i pojadł, zaczął nas traktować prawie jak rodzinę. Szwargotał na całego, a ponieważ pokazaliśmy, iż nie rozumiemy, „tłumaczył” swoje opowieści na migi. Pokazywał strzelaniny, straszne zimno, odmrożone u kolegów ręce, nosy, uszy, a czasem powieki, które się potem nie domykały. A w końcu powiedział:

– Hitler kaputt! Verstehen Sie?

O tym, że „Hitler kaputt” przyszło nam słyszeć coraz częściej. W cztery oczy powtarzali je sojusznicy Hitlera – Austriacy oraz Węgrzy, różni wojenni maruderzy, którzy robili sobie popas u nas lub u sąsiadów. Jedni i drudzy na wstępie z naciskiem podkreślali, że nie są Niemcami. W naszym sadzie pewnego razu nocował cały oddział niemieckich żołnierzy. Rano z braciszkiem patrzyliśmy, jak w karnym porządku ruszyli w drogę do Rumunii. Oficer, chudy jak szczapa, maszerował na czele sztywno niczym automat.

Wparowała też do nas gromada własowców. Z tymi było na początku groźnie, bo zaczęli straszyć bronią. Znowu pomogła ukra-

ínska sąsiadka Błyszczakowa. Zagadała sympatycznie, spokojnie, a jak sobie nieproszeni goście pojedli, ruszyli w swój marsz – ucieczkę przed sowiecką armią. Cdn.

Jerzy Stopa
Warszawa

Mój Ojciec Józef

Cz. IV – ostatnia

Borki Wielkie. Po kilku miesiącach w maju 1940 r., podczas wydawania paszportów (sowieckich dowodów osobistych) obdarzono nas paragrafem 11, który w jakiś sposób znany był NKWD z paszportu. Oznaczało to, że w przeciągu doby musieliśmy opuścić Tarnopol. Od tej pory nie wolno nam było osiedlać się w strefie 10 km od miast obwodowych (odpowiednik miast wojewódzkich) i w 50 kilometrowej strefie przygranicznej. Wyjechaliśmy do Borek Wielkich. Zabraliśmy ze sobą zapasy żywności, ubrania, pościel i narodowość polską.

Znaleźliśmy się 7-osobową rodziną na wsi bez środków do życia. Nie mamy pola, złotej biżuterii, ani nawet znajomych. Tu pomocnym okazał się kupiony tuż przed wojną aparat fotograficzny. Bowiem wówczas był duży popyt na małoobrazkowe zdjęcia do paszportów. Były to odbitki stykowe. Potem, gdy „interes” rozwinął się, były zamówienia na zdjęcia pośmiertne. Ale powstała pilna potrzeba posiadania powiększalnika. Ojciec, mając duże zdolności do majsterkowania, skonstruował drewniany powiększalnik. Jako obiektywu używał aparatu fotograficznego, a jako źródła światła, które musiało być obudowane, zastosował lampę naftową nr 3, bo prądu elektrycznego w tym gospodarstwie, gdzie początkowo mieszkaliśmy, nie było. Powiększalnik ten ustawiony był w stodole, którą na czas ekspozycji zamykaliśmy. Czas naświetlania jednego zdjęcia wynosił nie bagatelne 4 do 6 godzin! Na szczęście do pożaru nie doszło. Po jakimś czasie przenieśliśmy się do innego gospodarza, Hebrowskiego, w pobliżu młyna, który zasiliał energią elek-

tryczną tylko pobliskie domy, bo moc prądnicy nie pozwalała na więcej.



Borki Wielkie. Gospodarstwo Hebrowskiego, stan obecny (2005 r.)

Często pomagałem ojcu robić zdjęcia w niezbyt dobrze oświetlonych pomieszczeniach np. zmarłym. Występowałem wówczas w charakterze statywu dla magnezji oświetlającej wewnątrz. Ojciec, robiąc zdjęcia, przestrzegał jednej zasady: nigdy nie fotografował obiektów, a jedynie twarze ludzkie, indywidualne lub grupowe. Niedługo okazało się, że to strzał w dziesiątkę. Zdarzyło się, że podczas okupacji niemieckiej mieliśmy wizytę gestapo, które poszukiwało zdjęć wywiadowczych.

Transporty ze zrabowaną żywnością (zboże, ziarno słonecznika itp.) podczas operacji niemieckiej stale szły południową magistralą Stalingrad – Kijów – Podwołoczyska – Borki Wielkie – Tarnopol – Lwów – Kraków – Berlin. Był taki okres, że transporty z ziarnem słonecznika szły jeden za drugim. Ziarno było ładowane wprost do krytych wagonów towarowych. Miejscowa ludność Borek Wielkich wpadła na pomysł, że wiertłem stolarskim, tzw. korbą, można wywiercić otwór w podłodze stojącego na stacji wagonu i podstawić worek, by mieć do woli tego ziarna. Otwór pozostawiono celowo więc stacja pokryła się ziarnem słonecznika po główki szyn.

Nie uszło to uwadze Niemców, którzy zainteresowali tym tarnopolskie gestapo, które rozpoczęło rewizję na wsi. Pamiętam, jak ojciec pozwalał nam jeść do woli ziarna słonecznika, ale nie wolno było przynosić ich w kieszeniach do domu.

W Borkach Wielkich już od 1941 r. pracowałem na kolei, nie u naczelnika stacji czyli nie w ruchu, lecz u zawiadowcy odcinka drogowego, to jest w dziale utrzymania torów kolejowych w należywym stanie.

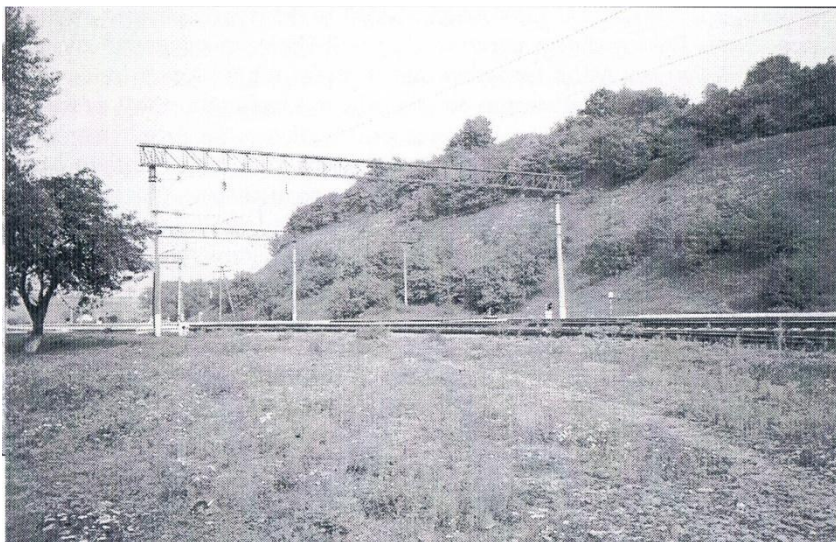


Pola w okolicach Borek Wielkich w okresie okupacji

W pewnym okresie wieś miała dostarczyć kontyngent ludzi na przymusowe roboty do Niemiec. Na liście do wyjazdu znalazłem się m.in. ja. Wówczas ojciec zdobył jakąś metrykę urodzenia, z której odciął dolną jej część bez tekstu, jedynie z pieczęcią i podpisem. Był to wąski pasek papieru z podpisem. Nad nim ktoś napisał, że ja urodziłem się w 1928 r., a nie faktycznie w 1926 r. Z tym „dokumentem” poszedł ojciec do wójta z awanturą, że wójt zamierza wysłać dzieci na roboty, że to jest sabotaż jak się Niemcy dowiedzą.

Wójt szybciotko poprawił gminną ewidencję i tak stałem się młodszym.

W czasie okupacji niemieckiej w Borkach Wielkich działała firma podległa „Organisation Todt” która nazywała się „Beton Und Monierbau Beuthen O/S”. Firma ta budowała brakujący drugi tor na odcinku Złoczów – Tarnopol – Wołoczyska w głównej południowej magistrali kolejowej. Prace nad budową tego toru rozpoczęli Sowieci już w 1939 r.



Zbocze wzdłuż stacji kolejowej w Borkach Wlk., które wyrównali Żydzi z blisko leżącego obozu w Stupkach. Stan obecny (2005 r.).

Kierownikiem firmy (Bauleiterem) był Niemiec, berlińczyk i miał do pomocy kilku Niemców uzbrojonych oraz brygadzystów na placu budowy w większości volksdeutscheów ze Śląska. Ponieważ ojciec był jedynym z miejscowych, który w Borkach Wielkich w tym czasie znał j. niemiecki więc łatwo dostał pracę w kancelarii w sąsiednim pokoju był tzw. pokój Niemców, często tak, że ojciec przeważnie orientował się o czym oni rozmawiali między sobą.

W Borkach Wielkich przy budowie drugiego toru pracowali: jeńcy sowieccy, Żydzi przeważnie ze Skafatu, ale i z okolicznych

wsi, zgromadzeni w obozie w Stupkach w pobliżu stacji kolejowej Borki Wielkie oraz miejscowa ludność, jedyna siła robocza opłacana.

W pewnym momencie brygadzista (volksdeutsch ze Śląska) postanowił zabrać aparat fotograficzny pracownikowi warsztatu elektrycznego, który nazywał się Adaś. Przyjechał z Rosji w czasie pierwszej okupacji sowieckiej w ramach nowej administracji rosyjskiej. Zamieszkał w Stupkach, tam się ożenił. Gdy Rosjanie uciekali w popłochu w 1941 r. Adaś pozostał. Był inżynierem elektrykiem. Niemcom nie przyznawał się do tego i zatrudnił się w warsztacie elektrycznym jako monter.

Ojciec znał Adasia, z którym miał zamiar dokonać zamiany swego aparatu fotograficznego na jego. W tym celu wymienili się aparatami, by każdy mógł sobie go wypróbować.

Wspomniany brygadzista postanowił donieść Niemcom, że Adaś prawdopodobnie jest szpiegiem, ma aparat fotograficzny, więc na pewno nie wyjdzie żywy z rąk gestapo, a przy zawirowaniu jak zginie tenże aparat to nikt na to nie zwróci uwagi. Zawiadomił więc kierownictwo firmy. Bauleiter nie chcąc się zblamować doniesieniem postanowił Adasia przesłuchać. Kazał wezwać go na rozmowę. Firma zajmowała budynek parterowy we wsi za pocztą po tej samej stronie idąc w stronę kościoła. Gdy Adaś stanął w drzwiach pokoju, w którym pracowali Polacy cicho zapytał: *Łagier?* Ojciec potwierdził skinieniem oczu. Wówczas Adaś natychmiast wycofał się do korytarza, wlaź na strych i zeskoczył na ziemię kryjąc się w krzakach. Przy zeskoku zwichnął sobie nogę. Niemcy, gdy zorientowali się, że Adaś powinien już być, a na zapytanie pokrętnie odpowiadali Polacy, chwycili za broń i rzucili się na osłep w pogoń, która nie dała rezultatu.

Adaś ukrywał się jakiś czas. Niemcy powiadomili gestapo, które wysłało list gończy do policji. Gdy porady miejscowych lekarzy nie dały rezultatu Adaś postanowił udać się do Tarnopola do szpitala i tam szukać pomocy. Usiłował wsiąść do pociągu na miejscowej stacji kolejowej. Tam rozpoznał go policjant kolejowy i aresztował. Został doprowadzony do gestapo w Tarnopolu. Zarzu-

cono mu szpiegostwo, które potwierdził ucieczką. Przecież niewinnego w Niemczech nie czeka żadna kara. Na co Adaś odpowiedział, że chcieli go zlikwidować przez lagier, bo chcieli pozbyć się niewygodnego świadka. Jakiego? Odpowiedział, że pracując w warsztacie kilkakrotnie przynosił Bauleiter puszki od konserw i kazał je zalutowywać. Gdy zajrzał do środka okazało się że tam są złote precjoza. A to może być powodem – stwierdził przesłuchujący, ale na razie to jest zręczna obrona. Jaki jest dowód na to o czym mówi? Odpowiedział Adaś, że wystarczy sprawdzić te puszki w paczce na poczcie w Borkach wielkich adresowane do żony Bauleitera. Jak wiadomo Niemcy mieli obowiązek przekazania swego złota do banku niemieckiego po wybuchu wojny. Sprawdzenie paczki potwierdziło zeznania Adasia. W tym czasie gestapo dokonało również rewizji w naszym domu. Szczegółowo przegadali negatywy filmów, które ojciec zrobił i posiadał. Sprawdzano pod kątem ewentualnego szpiegostwa. Żadnych podejrzeń nie mieli.

Gestapo przyznało Adasiowi rację, że groziła mu śmierć, więc go zwalniali. Adaś stwierdził, że z tego powodu ma uszkodzoną nogę, na co gestapowcy dali mu skierowanie do szpitala na leczenie. Bauleiter zniknął z Borek Wielkich. Na tym zakończył się pierwszy akt tragedii Adasia. Drugi nastąpił po ponownym wkroczeniu wojsk sowieckich do wsi.

W 1943 r. nastąpiła likwidacja obozu dla Żydów w Stupkach. Przestrzeń dzieląca gospodarstwo, w którym mieszkaliśmy i wieś Stupki, gdzie był obóz żydowski, była podmokłą równiną, przez którą płynęła rzeczka Gniła. Prawdopodobnie dawniej był to staw, przez który przepływała rzeczka. Za stacją kolejową na wzgórzu stał niegdyś zamek w Borkach Wielkich, miejsce jego jest zaznaczone tylko na mapach austriackich sprzed I wojny światowej w skali 1:75 000. Obserwowaliśmy tę egzekucję, która trwała kilka godzin i zakończyła się spalaniem zabudowań obozu. Później pomocnicza policja ukraińska przez kilka tygodni wyłapywała ukrywających się Żydów, którym pod koniec egzekucji udało się uciec w trakcie powstałego popłochu.



W 1943 r. umiera moja prababcia Michalina Bobrowicz z domu Okińczyc. Zmarła podczas snu, mając około 100 lat. Pochowana została na cmentarzu parafialnym w Borkach Wielkich. Dokładnie nie wiemy ile miała lat, ponieważ nie miała dokumentów. Wiadomym tylko było, że w powstaniu styczniowym brała ślub.

W czasie okupacji niemieckiej firma wysłała ojca do Winnicy. Celem delegowania była pomoc w kontaktach z miejscową ludnością, mimo że ojciec bardzo słabo znał język rosyjski. Wtedy nie wiedzieliśmy czym zajmuje się ta firma w Winnicy. Dziś z literatury przedmiotu dowiedziałem się, że w Winnicy firma budowała jedną z kwater Hitlera.

W 1944 r. ponownie wkraczają na nasze tereny wojska Czerwonej Armii. Niedługo „wojenkomat” ogłosił pobór do wojska. Z naszej rodziny poborowi podlegali ojciec, siostra i ja. Mimo ostrych rygorów do poboru nie stawiliśmy się ojciec i ja. Siostra poszła do wojska. Ja według przedłożonych wcześniej dokumentów nie podlegałem poborowi. Ojciec już wcześniej powiedział, że nie będziemy zmieniać mojego roku urodzenia po ponownym wkroczeniu Rosjan, bo moglibyśmy znaleźć się na Sybirze. Ojciec następnego dnia, po odejściu poborowych, musiał stawić się w „Wojenkomacie”. Pokazał, że ma niesprawną prawą rękę, ale to nie było ważne tylko to, że ojciec był kolejarzem, bo pracował na kolei. „Wojenkomat” zorientował się, że zabrał do wojska kolejarzy i teraz nie będzie mógł uruchomić stacji kolejowej na tak ważnym szlaku.

Dalej z ojcem pracowaliśmy na kolei. Pewnego dnia wracaliśmy do domu z zagajnika nad dworcem, do którego poszliśmy po opał. Na stacji stał transport wojska. Jakiś nietrzeźwy żołnierz uznał nas za banderowców i usiłował nas obu rozstrzelać. Już staliśmy z

ojcem pod ścianą, a on odbezpieczał pepeszę. Uratował nas lejtnant, który przepędził żołdata.

Później nastąpił następny etap sprawy Adasia. Dla Rosjan pozostanie na terenie wroga, czy też poddanie się do niewoli było karane śmiercią. Aresztowano Adasia, który licząc że uda mu się złagodzić karę powołał się na ojca. W tym czasie ja pracowałem już w Borkach Wielkich w dwustronnej komisji repatriacyjnej, jak ją wtedy nazywano. Wydano nam już kartę ewakuacyjną i oczekiwaliśmy na podstawienie transportu kolejowego. Pewnego dnia przewodnicząca strony sowieckiej pod pozorem sprawdzenia poprosiła o przekazanie jej naszej karty ewakuacyjnej. Potem zaczęto wzywać ojca do NKWD. Pytano o sprawę Adasia. Ponieważ ojciec właściwie przyczynił się do uratowania mu życia, więc NKWD nie miało nic ojcowi do zarzucenia. Gdy zwrócono nam kartę ewakuacyjną natychmiast uciekliśmy do Tarnopola, skąd po krótkim czasie wyjechaliśmy na zachód do Polski.

Bytom. Jechaliśmy w odkrytym wagonie, w węglarce, przez Lwów aż do Bytomia. Koniec wojny zastał nas w trakcie podróży. Transport kierowany był na Opolszczyznę, ale w Bytomiu ojciec zobaczył znajomego z Tarnopola więc wysiedliśmy.

Początki w Bytomiu były trudne. Ojciec kupował gdzieś olej jadalny, a ja go sprzedawałem na targu. Mama piekła pączki z różą, które na targu szły jak woda.

Jesienią 1945 r. poszedłem do gimnazjum dla dorosłych na pl. Sikorskiego. Tam na podwórku szkolnym poznałem tenora Opery Śląskiej p. Paprockiego, z którym graliśmy w siatkówkę jeden set i przegraliśmy z zespołem opery. Ale do opery chodziłem stale, jak tylko uzbierałem na najtańszy bilet na tzw. „Jaskółkę” (stojące miejsce na drugim balkonie).

W Bytomiu zamieszkaliśmy przy ul. 1 maja 109 w drewnianym domku górniczym tzw. bliźniaku. Potem ulicę przemianowano na Odrzańską. Tam po raz pierwszy ojciec oficjalnie poczęstował mnie papierosem podczas kopania ogródka przydomowego.

W 1945 lub 1946 r. wpłynął do nas telegram mniej więcej tej treści: *Józef Stopa. Pańska córka jest w szpitalu w Żarach. Sio-*

stra Leśniowska. Tak jak wspomniałem na początku ojciec sugerował siostrze, by w wojsku starała dostać się do służby zdrowia. Tak też zrobiła, o czym domyślaliśmy się z jej listów z adresem zwrotnym poczta polowa nr ... Telegram nie był dla nas złą wiadomością, lecz wręcz przeciwnie. Wreszcie wiemy, gdzie jest siostra. W następnym dniu ojciec pojechał do niej pociągiem. Dojechał do Żagania, dalej poszedł pieszo, lub przygodnym autostopem, gdyż pociągi na tej trasie nie chodziły codziennie. Później do siostry przyjechała babcia – żona dzierżawcy majątku Sawejki. Obecnie babcia Katarzyna Leonowicz pochowana jest na cmentarzu w Bytomiu.

W 1949 r. powołano mnie do odbycia zaległej służby wojskowej w Wałczu. Od tego czasu opuściłem Bytom na stałe.

Ojciec w Bytomiu ukończył kurs dla księgowych i bilansistów w 1948 r. Potem pojawiły się wnuczki, którymi interesował się dziadek, a szczególnie jedną wnuczkę bardzo pokochał, zresztą jak wiem, z wzajemnością. By mieć tzw. drobne na swoje potrzeby, a te miał, zarabiał oprawiając książki dla bibliotek.

Potem do Bytomia przyjeżdżałem na kolejne pogrzeby: ojca, matki, brata, szwagra. Teraz jeżdżę na śluby potomków Stopów. Z siedmioosobowej rodziny tarnopolskiej obecnie zostało nas dwoje z siostrą Krystyną.



Bogusława Duszkiewicz
Kazimierz Orlicz
Bydgoszcz

Wspomnienie o deportacji z Podola (Ze Strusowa pow. Trembowla do Kazachstanu) cz. II

Bogusława Duszkiewicz: *Na spotkaniu waszego roku studiów stan „zawszenia” w Kazachstanie nazwałeś epidemią, bo tak masowa plaga tych insektów prześladowała was w internacie wielkiej firmy drogowej w dużym mieście Ajaguz, gdy byłeś tam uczniem polskiej szkoły.*

Kazimierz Orlicz: – Owa niewyobrażalna mnogość wszy była wynikiem niedostatku wszystkiego. Ten niedostatek był totalny, bo np. już w końcu lata 1940 (niemal rok przed atakiem Niemiec na ZSRR) w jedynym sklepiku w chutorze Żejpak (fermy Ucz-Aszczi, sowchozu Kara-Koń) nie było mydła. Kilka polskich rodzin, przekwaterowanych z Żejpak do dużego baraku, 4 kilometry na zachód od Żejpak z dużą pryczą do spania dla tych rodzin prała odzież w ługu powstałym z popiołu spalonej lebiody (komosy). Jako 10-letni chłopak, z dwiema gimnazjalistkami (córkami pani Zimnej) i Haliną Matuszewską (siostrzenicą pani Kuciowej)¹, zbierałem krzaki lebiody do ogniska, by uzyskać popiół (zastępnik mydła). Dowodził nami i lebiodę do ogniska dokładał starszy od nas Edward, syn pani, której nazwiska już nie pamiętam (Edward dostał się później wraz z matką do armii Andersa i dotarła do nas wiadomość, że poległ w bitwie pod Monte Cassino).

Konsekwencją braku mydła i jakichkolwiek innych środków (np. DDT), była wszechogarniająca plaga wszy. W 1944/45

¹ Pani Zimna wróciła do Polski tylko z jedną córką i jej córką, której ojcem był Kazach; druga córka poślubiła Niemca znad Wołgi i pozostała w Kazachstanie. Pamiętam rozpacz matki, gdy nasz eszelon ruszał do Polski. Pani Kuciowa z Haliną wróciły i zamieszkały we Wrocławiu na Biskupinie (spotykałem obie panie, mieszkając w akademiku w tej dzielnicy).

byłem uczniem V klasy polskiej szkoły (założonej przez ZPP Wandy Wasilewskiej) w mieście Ajaguz i jako pracownik dużej firmy drogowej GosSzozDorg Ajaguz – Bachty² otrzymałem miejsce w internacie znajdującym się w jednym z murowanych z cegły budynków dyrekcji tej firmy na peryferiach miasta. Budynek nie miał oświetlenia elektrycznego; korzystaliśmy z lamp naftowych. Byłem jedynym Polakiem w internacie. Zakwaterowano mnie w sześciopersonowym pokoju o czterech łózkach (trzy Rosjan, Kazach, Niemiec z nad Wołgi i ja). Na dwóch łózkach spaliliśmy więc na waleta. Już w pierwszym dniu niezbyt serdecznie nastawieni do Niemca i Polaka Rosjanie ustalili, że „polskiej pan” będzie spał z Germańcem, co też uczyniliśmy, bo decyzja Wańki – najstarszego z Rosjan – była kategoryczna³. To spanie na waleta i ogólny brak higieny (spowodowany głodem i brakiem mydła) sprawiły, że niewyobrażalna ilość gnid i wszy pojawiła się w rąbkach naszej odzieży, tworząc coś w rodzaju ciągu „perełek” (gnida za gnidą) z „brylantami” w postaci dużych, kolorowych wszy, krwią naszą upasionych. Owe „parazyty” gnieździły się w naszej odzieży, mimo że raz w tygodniu odzież każdego z nas była obowiązkowo zdawana do wyprażana w specjalnych komorach, gdy przychodziliśmy do kąpieli w publicznej „bani”. To wyprażanie nie było skuteczne i każdego wieczoru, przed spaniem, taki oto rytuał zabijania wszy i gnid uprawialiśmy, by nie cierpieć od ich gryzienia w nocy. Najpierw Wańka komendą: „Pulemiotcziki! K ataku gotowties!” [„pulemiot” – karabin maszynowy] — ogłaszał przygotowanie do ataku, co oznaczało podkręcenie lampy naftowej i zdjęcie bielizny. Potem, na kolejne komendy Wańki: „Pulemiotcziki! Po parazitam! Ogoń! [Kaemiści! Do pasozytów – ognia!] – kolejno, każdy z nas przesuwiał rąbki swej bielizny nad wylotem spalin ze szkła lampy. Gnidy i wszy trzaskały jak

² Skrót od: Gosudarswiennaja Szosiejnaja Doroga, Ajaguz – Bachty (ang. Baqti), tj. szosa od Ajaguz, przez Taskesken, do Bachty (tuż za granicą, w Chinach, też jest Bakti).

³ Po kilku dniach i do końca roku 1944/45 Wańka i pozostali koledzy byli bardzo fajnymi kumplami; wielokrotnie byłem w domu rodziców Timki, mieszkających nad strumieniem pod Ajaguz.

karabin maszynowy, co nas – chłopaków z GosSzosDorga – bardzo bawiło. W polskiej szkole, do której chodziłem, cierpiałem wielki dyskomfort z powodu wszy (łaziły po mnie!). Ale o tym opowiem później.

Gdy na okres ferii zimowych (święto „*Dieda Moroza*” – *Dziadka Mroza*) okazijną ciężarówką „naszej” firmy przyjechałem do domu (= lepianki wspólnej z rodziną Rosjan) w Taskesken, to Babcia dezynfekowała mi głowę naftą, a kozuch i grubą odzież wystawiała na siarczasty mróz (ok. -35 st. C), co po kilku dniach niszczyło większość wszy (ich martwe odwłoki wystawały z rąbków odzieży i z kozucha). Pozostałą odzież Babcia długo gotowała (na co my – „*rebiata*” [*chłopcy*] w internacie – nie mieliśmy ani warunków, ani czasu). Chcę podkreślić, że mieliśmy wysoką wydajność w „*unicztożeniu parazytów*” [*niszczeniu pasożytów*], może pobiliśmy nawet rekord świata w tej „dyscyplinie”.

Nasze relacje z wszami były równie ciekawe, jak opisane przez Marci Shore w książce *Kawior i popiół*⁴, na podstawie wspomnień Oli Watowej i Aleksandra Wata z więzienia i zsyłki do Kazachstanu.

Natomiast do wszy na głowach mieliśmy życzliwy stosunek, bo zawsze, w dzień wolny od nauki, pełniły one rolę naszych „koni wyścigowych”, które każdy z nas, na komendę Wańki: „*Gotowy!*” [*Gotowi!*] – miał palcami szybko wyszukać co najmniej dwie wszy we włosach i wystawić na linię startowa, by zdążyć na kolejną komendę Wani: „*Wpieriod!*” [*Naprzód!*], po której nasze „konie” ruszały w wyścigu do mety. Wszy mieliśmy tak dużo, że znalezienie dwóch „zawodniczek” trwało krótko – jak znalezienie dwóch monet w kieszeni pełnej bilonu. Przegrany tracił połowę „*pajki*” [*racji*] chleba (wielkości czterech pudełek zapalek), którą dawano nam w niedzielę na kolację (i kawałek ugotowanej ryby). Połowę z tej połowy „*pajki*” otrzymywał właściciel zwycięskiej wszy, a drugą połowę arbiter wyścigów –Wania, fajny kumpel, o

⁴ Marci Shore, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, Świat Książki, 2008, s. 213 i in.

duszy inteligentnego „urki”, o których pisze Ola Watowa w książce *Wszystko, co najważniejsze* na str. 184–192.

Nie pamiętam, czy najczęściej przegrywającym był nasz kolega Niemiec nadwożański, ale nigdy nie zapomnę jego chudej sylwetki, gdy po każdej takiej kolacji z kawałkiem ryby (był to rytas świąteczny!) wysysał resztki z ości pozostawionych przez innych na stołach, gdy wszyscy (nadal głodni) opuszczaliśmy stół. Po feriach zimowych w 1944/45 nie wrócił już do internatu. Zapewne nie wytrzymał hasel w rodzaju „*Smierť niemieckim zachwatzikam!*” [najeżdżcom], licznych w Ajaguz oraz na ścianach sal i korytarzach szkół i pozostał z babcią, gdzieś w chutorze, u stóp gór Tarbagataj, oczekując na powrót rodziców z łagrów po wojnie. Wszystkie bowiem rodziny Niemców nadwożańskich, przybyłych do Kazachstanu w 1941, składały się wyłącznie z dzieci i starszych pań (babci tych dzieci). Jedna z nich, przybyła wraz z wnukami do posiołka Żejpak, mieszkająca w sąsiedniej lepiance, uczyła mnie języka niemieckiego, za pomocą wierszyków, które pamiętam do dziś. Oto jeden z nich: *Stół – Tisch / Ryba – Fisch / Nożik – Messer / Łuczsze [lepiej] – Besser / Stara baba – Alte Frau / Cziora swin’ja – Schwarze Sau.*

Jednak pewnego dnia (być może w wyniku jakiejś nocnej operacji) wszyscy Niemcy nadwożańscy zniknęli z posiołka Żejpak. A po pewnym czasie w Żejpaku pojawili się Czeczeni (również tylko starzy mężczyźni i stare kobiety z wnuczętami). Problem metod „*unicztożenia parazytów*” przestał istnieć w dniu powrotu do Polski, gdy w Gubinie posypano nas DDT.

– *Pozostaje niepojęty dla mnie fakt, że po wojnie ten skuteczny środek na wszy, jakim był proszek DDT, nie dotarł do miasta Ajaguz – siedziby „rajona” i dużej stacji kolejowej, skąd biegły cztery szosy. Jedną z nich była wasza GosSzosDorg, prowadząca do wnętrza Chin przez Taskesken, Bachty (w Kazachskiej SRR) i dalej (w Chinach) od przygranicznej Bakti przez Urumczy – stolicę Ujgurów. Bo wspominałeś, że w 1945/46 potężne samochody z USA firmy Studebaker do odśnieżania szos pojawiły się zimą, wywołując*

zachwyty ludzi w Taskesken. Stalin wysłał potężne samochody z USA, ale zaniedbał wysłania proszku dla ludności cierpiącej od wspy.

– Odpowiedź jest prosta, gdy pamiętamy popularne w ZSRR hasło: „*Za pobiedu socializma wo wsiom mirie*” [O zwycięstwo socjalizmu na całym świecie]. A to wtedy właśnie (1944) Ujgurowie, którzy (jak Kazachowie) wyznają islam i mówią niemal tym samym językiem należącym do grupy języków turkijskich, jak np. język Tatarów w Polsce i Turków w Turcji, w wyniku powstania zbrojnego przeciw rządowi Chin (Kuomintang), utworzyli dwa niepodległe ujugurskie państwa o nazwach: Republika Wschodniego Turkiestanu (u stóp gór Tarbagataj i Altaju, wspierana przez ZSRR) oraz Islamska Republika Wschodniego Turkiestanu. W 1945, na szosie Ajaguz-Bachty pojawiły się wojskowe samochody (z dostaw USA dla ZSRR, przez Murmańsk) wiozące coś w kierunku Chin, zapewne dla wsparcia owej socjalistycznej Republiki Wschodniego Turkiestanu bądź komunistycznej armii Mao Zedonga. Ale wielką sensację w Taskesken wywołało pojawienie się potężnych studebakerów do odśnieżania dróg, które kruszyły grube warstwy śniegu za pomocą ślimacznic wgrzyzających się w twarde śnieg i potężnymi dmuchawami wyrzucały go daleko poza szosę. Był to wielki postęp w oczyszczaniu dróg w wąwozach, w porównaniu z odśnieżaniem za pomocą spychaczy pchanych gąsienicowymi traktorami CzTZ (z fabryki *Czkałowskij Traktornyj Zawod*), które musiały być wspomagane ciężką pracą ludzi z łopatami, by śnieg wyrzucić poza szosę. Szybkość odśnieżania była tak wielka, że pracownicy GosSzosDorga i ludność Taskesken cmokali z zachwyty, powtarzając: „*Nu wot, czudiesnaja tiechnika Amierikancew! Wsio idiot w tri miga. Nu mołodcy!*” A zawieje śnieżne były duże, np. naszą ziemiankę (jedną z dwóch samotnie stojących na czwartym kilometrze na zachód od Żejpak) przez noc tak zawiewało, że musieliśmy czekać aż przyjdą do pracy polskie sowchoźnice z Żejpak i wykopią w śniegu wąwóz do wejścia naszej chaty. Pamiętam ich zawołanie, gdy zjawiały się o poranku: „*Hej, hej Rodacy! Czy wy tam jeszcze żyjecie?*”

Troską Stalina nie był poziom życia ludności Kazachstanu, ale ekspansja socjalizmu na wschód od Kazachstanu, w postaci

umocnienia owej, niezależnej już od Chin, Republiki Wschodniego Turkiestanu, z ewentualnym włączeniem jej do ZSRR. Wtedy osady Bachty i Bakti, leżące po obu stronach granicy, u podnóża szczytu o nazwie Bachty (1273 m), znów stałyby się jedną – jak ongi – osadą.

Zimy 1944/45 i 1945/46 były najtragiczniejsze z powodu braku żywności dla ludzi i karmy dla nielicznych już zwierząt. Nigdy nie zapomnę wychudzonej z głodu krowy, należącej do rodziny Kazacha, która o świcie, w siarczystym mrozie, szukała pokarmu między lepiankami, zjadając wszystkie napotkane zamrożone kupy ludzkie, pozostawione z tyłu tych lepianek (bo wychodków brakowało, a mróz był siarczysty). W tym czasie żadne sowchozowe stado bydła i świń już nie istniało od 1942 roku. Wysłano je na front, jako tzw. obowiązkowe dostawy. Oto przykłady dwóch sytuacji w Żejpak:

W końcu maja 1940, gdy nas tam osiedlono, w Żejpak były wtedy dwie długie obory pełne bydła rogatego, kilka chlewni, zwanych świniarniami, położone po drugiej stronie rzeki, również pełne świń. Po chlewniach krążyły dwa psy, zaprzyjaźnione z pracownikami – głównie świniarkami – kobietami, których pracę sławiła znana rosyjska czastuszka takimi oto słowami: *„My swinarki nie ziewajem. / Porosiatok bierieżom. / Odkormili, odpoili / I bojcam na front poszłom.* Te psy korzystały z pożywienia danego świniom i zawsze radośnie witały mnie i mojego kolegę Piet'kę (Piotra).

Mój Dziadek, mający z Polski przeszkolenie w weterynarii (miał służbową odznakę z godłem i napisem: OGLĄDACZ), przez kilka dni pomagał weterynarzowi – dr. Rullowi (dystyngowany Estończyk, jak my zesłany wraz z żoną) kastrować młode byczki, przyszłe woły pociągowe. Z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się procesowi tak masowego kastrowania. Dr Rull, na prośbę Dziadka, pozwolił mi napełnić butelkę lizolem (środek dezynfekcyjny), który był dla nas jedynym środkiem leczniczym, jakim dysponowaliśmy przez ponad sześć lat zesłania.

Duże stado krów doily sowchozowe dojarki (tj. kobiety, które też sławi czastuszka), a z mleka natychmiast odwirowywano

śmietaną, którą w bańkach odwoziła moja Mama do odległej osady na północ, gdzie była duża mleczarnia. Taka podróż Mamy wozem, a zimą sańmi, ciągnionym przez wolno kroczącego wołu, trwała cały dzień, a w zimie od świtu do nocy, co zawsze martwiło Babcie, gdy po zmroku Mama długo nie wracała. Zwłaszcza że wataha wilków głośno wyła nad skałą, tuż nad lepianka, w której mieszkaliśmy razem z rodziną pani Siedowej, na skraju posesiołka Żejpak.

Szefem chlewni był ojciec Piet'ki. Dziadek też tam pracował. Losy rodziny Piet'ki i obu psów z chlewni były dramatyczne. Nie mogę tego zapomnieć; opowiem o tym później – to smutne dwa wydarzenia, jak cierń tkwiące w mej pamięci.

W marcu 1944, gdy na zawsze opuszczaliśmy przyjazny Żejpak i rodzinę pani Siedowej, przenosząc się ciągnionymi przez parę wołów sańmi do Taskesken, skąd łatwiej było dostać się do stacji kolejowej w Ajaguz, gdyby nadszedł czas repatriacji do Polski. Wtedy w oborach pozostały tylko woły pociągowe i kilka krów. Natomiast chlewnie były całkowicie puste. Nikt tam już nie pracował i tylko pozostały przy życiu jedyny pies biegał po chlewniach, poszukując jedzenia. Wszystkie zwierzęta odesłano już na początku wojny na front na mięso dla wojska. Wkrótce też na wojnę poszedł ojciec Piet'ki.

– *Opowiedz o podróży do Taskesken, gdy na zawsze pożegnaliście Żejpak i rodzinę pani Siedowej.*

– Gdy po kilku godzinach wjechaliśmy w długi wąwóz nad rzeczką, to w głębokich zaspach śniegu woły zapadały się i musieliśmy spędzić noc w wąwozie nad tą rzeczką. Oboje Dziadków i woły udało nam się przeprowadzić kładką, na drugą stronę rzeczki, do zadazonej, kamiennej bacówki, która na nasze szczęście tam się znajdowała. Dla ochrony przed wilkami zapaliliśmy u wejścia bacówki duże ognisko z gałęzi narąbanych nad rzeczką. My z Mamą pozostaliśmy na saniach na drodze obok kładki, śpiąc na zmianę – dla bezpieczeństwa i by dokładać do ogniska – na wyścielonych sianem saniach oraz (co ważne) na poduszce z pierza i pod pierzyną, które wywalczyła moja dzielna Babcia w Strusowie w dniu deportacji. Tam po raz ostatni widziałem watahę wilków, które przy-

glądały się nam, zapewne zdziwione, kto też o tej porze roku, w zawianym śniegiem wąwozie, zamieszkuje w bacówce. A może rozpoznały w nas swych karmicieli? Bo w Żejpak albo Mama, albo ja wywoziliśmy na pożarcie wilkom zwłoki padniętych na jakąś zarazę owiec, które każdej nocy, po kilka sztuk, zdychały w oborach zimą 1943/44. Każdego ranka czabani [pasterze] zdejmowali skóry i zwłoki ładowali na sanie. Bardzo mi się podobała ta robota, bo gdy zbliżałem się z owym „śniadaniowym poczęstunkiem” dla watahy, to gromada kilkudziesięciu wilków na mój kazachski okrzyk: „Ej! Kaskyr, kaskyr. Ej” odstępowała od miejsca w wąwozie (ok. 2 kilometry za Żejpak), gdzie wychylając sanie, zrzuciałem ów „poczęstunek” do rowu obok drogi. Potem, odjechawszy na pewną odległość, lubiłem przyglądać się, jak owa wataha pałaszowała przywiezione jej smakołyki. Do dziś mam zwyczaj mówić, że w Kazachstanie żyłem za pan brat z wilkami. Dla mojej Mamy wilki też były niestraszne, bo w zimie, jako przewoźnik sowchozowy, często przed północą samotnie wracała sańmi wolno ciągnionymi przez pojedynczego wołu przez step i górskie wąwozy. Na kilkudniowe trasy, np. z Żejpak do Ajaguz, zwykle jeździła w parę sań, z panią Dżałową (Polką), ale nie jestem pewien, czy to nazwisko zapamiętałem poprawnie. Cdn.

Eugeniusz Jaworski

Żary

Mieszkańcy pochodzenia żydowskiego w Kretowcach i Hrycowcach pow. Zbąraź

Wśród rodzin mojej oraz pobliskiej wioski były także rodziny pochodzenia żydowskiego. Chociaż mówiono, że są to wioski czysto polskie, to jednak, gdy przyjrzeć się bliżej naszym mieszkańcom, to była duża różnorodność. Ale wszyscy poczuli się jako obywatele polscy.

Na wiele lat przed I wojną światową mieszkała w Kretowcach tylko jedna rodzina żydowska. Musiała się osiedlić o wiele wcześniej, bo nasi dziadkowie opowiadając o nich mówili, że pa-

miętają jako stałych mieszkańców. Mieli oni gospodarstwo w centrum wioski z dużym podwórkiem. Dom był murowany i kryty blachą. Stajnia dość obszerna, murowana, oraz stodoła wykonana z drewna, obita deskami. Gospodarzem był Żyd o nazwisku Jankiel Talenbach. Jego żona Jewka, mieli trójkę dzieci: Grela, Josiu i Pepa. Ich dziadek Jankiel (który zmarł w latach 20 XX) był pochowany na cmentarzu żydowskim w Zbarażu w latach dwudziestych. Do gospodarstwa należały jeszcze pola leżące na „górcie Kierniczanej”. Jak opowiadali dziadkowie, pola te były dzierżawione przez niektórych kretowieckich gospodarzy.

W polu rodzina ta nie pracowała. Dzieci uczyły się w naszej polskiej szkole, gdzie nauczycielkami były siostry zakonne. Rodzina ta prowadziła sklep towarów mieszanych. Można było kupić tam cukier, sól, kawę zbożową, naftę i inne produkty potrzebne w wiosce. Można było płacić tam towarem takim jak jajka czy zboże. W każdą sobotę cała rodzina szła do Zbaraża, gdzie była żydowska gmina. Kiedy przyszła okupacja niemiecka cała tę rodzinę zabrano do Getta w Zbarażu. Czy przeżyli okupację nie wiadomo, ale po wojnie już ich nie spotkano. W 1944-45 gospodarstwo ich, mimo dobrego stanu, rozebrano i dziś nie ma po nim śladu.

Były też dwie rodziny pochodzenia żydowskiego w Hrycowcach. Jedna mieszkała tuż przy granicy dzielącej Kretowce i Hrycowce. Ta rodzina miała także zabudowania murowane, dom pod blachą, duży spichlerz na zboże i inne pomieszczenia. Gospodarza tego nazywano „handlarzem zboża”. Miał nazwisko Moszko Brill, a jego żona na imię Ryfka. Rodzina jego prowadziła sklepik z różnymi towarami. Mieli dwoje dzieci o imionach Joś i Abraham. Trudnili się też handlem gruntami. W czasie okupacji niemieckiej zabrano ich do Getta w Zbarażu i ślad po nich także zaginął. Po wojnie nie dali znaku życia. Po 1945 roku budynki rozebrano, pozostało tylko miejsce zarośnięte krzakami i część fundamentów.

Natomiast w centrum wsi Hrycowce była jeszcze jedna rodzina żydowska, która posiadała gospodarstwo tuż przy głównej drodze Zbaraż – Maksymówka. Głową rodziny, którą powszechnie nazywano na wiosce „Jutkowie” był Kiwertz Jakub. Gospodarstwo

to posiadało zabudowania typowo wiejskie. Dom był kryty blachą, przylegały do niego duże stajnie i na uboczu duża stodoła. Posiadali oni pola w kierunku na Maksymówkę, prawdopodobnie były to pola po dawnym folwarku Żyda Jakuba Szakszpira, zniszczonego przez Moskali w czasie I wojny światowej. Trudnili się oni handlem końmi (które także posiadali), oraz prowadzili sklep i karcznię. Posiadali dzieci: najstarszy Muńku urodził się chyba w 1919 r., Aron, który sprzedawał w sklepie, Wiktor urodzony w 1923 r. (chodził do szkoły w Zbarażu wraz z moim bratem Edmundem), oraz Fejga, która prowadziła „wyszynk” w Kretowcach naprzeciw Domu Ludowego, gdzie mieszkał Czuprun. Najstarszy Muńko trudnił się handlem zbożem. I był jeszcze najmłodszy syn Kamil.

Do prac w polu i zagrodzie wynajmowali wieśniaków z naszej wioski. Za prace przy młocce żyta cepem, którego snopki słyły na pokrycie dachów, płacił 80 gr. za dzień. A na folwarku „Łanku” OO. Bernardynów płacono 1 zł za dzień.

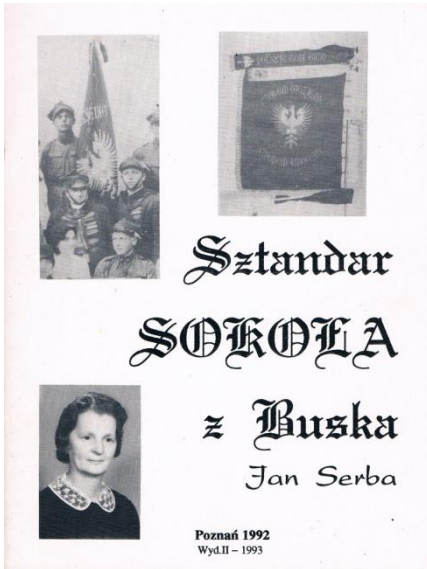
Po tej rodzinie z Hrycowiec, którą również zabrano do Getta w Zbarażu, także nie ma fizycznych śladów – budynek rozebrano. Z Getta z powrotem do Hrycowiec uciekło dwóch synów z tej rodziny Kamil i Wiktor. Czas okupacji niemieckiej przeżyli dzięki pomocy naszych mieszkańców. Po ponownym przyjsciu wojsk sowieckich obaj zamieszkali w Zbarażu. W 1945 roku wyjechali do Polski wraz z naszymi mieszkańcami na ziemię zachodnią. Ich dalszy los nie jest mi znany. Tak potoczyły się losy naszych mieszkańców pochodzenia żydowskiego, którzy wspólnie z Polakami żyli obok siebie na przestrzeni wieków. Opisałem znane mi osobiście te rodziny, ich nazwiska zamieściłem dla pamięci następnych pokoleń, które będą szukać swoich korzeni i wspominać dawnych mieszkańców Kretowiec i Hrycowiec.

Od redakcji: *Osoby zainteresowane losami społeczności żydowskiej w Zbarażu informujemy, że w numerze 16/96 „Głosów Podolan” ukazał się artykuł p. E. Jaworskiego dot. pomocy, której udzieliła społeczność polska żydowskim uciekinierom z getta w Zbarażu. Pomocy tej m.in. udzieliła rodzina autora. Osobą wielkiego serca w tych latach wielkiej próby okazała się mieszkanka wsi Kre-*

towce Agnieszka Mazurkiewicz (z domu Kminek) wraz z rodziną udzieliła pomocy Żydowi dr Ludwikowi Landau (ojcu znanej pisarki Idy Fink), którego ukrywała 9 miesięcy aż do wyzwolenia. W 1995 roku Instytut Yad Vashem podjął decyzję o przyznaniu Agnieszce Mazurkiewicz tytułu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Igor Megger
Poznań

Z dziejów Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Busku (pow. Kamionka Strumiłowa) cz. I



W 1992 roku w Poznaniu członek miejscowego oddziału TML Jan Serba (zm. 2013) wydał w kilkunastu egzemplarzach książeczkę – broszurę pt. „Sztandar Sokoła z Buska”. Publikacja ta, o formacie i objętości zbliżonej do naszych „Głosów”, opisuje zwięzłe miasteczko Busk, historię Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, dzieje wybranych „sokolników” w czasie wojny, jak i po niej. Książeczka ta z racji nakładu i braku numeru ISBN jest właściwie pozycją nieznaną i nieosiągalną, a zawiera szereg unikatowych

informacji. Niniejszy artykuł powstał głównie na jej podstawie, a ponieważ napisana została blisko 30 lat temu, artykuł uzupełniony został innymi, nowszymi informacjami, których źródła podałem w przypisach. Do napisania niniejszego artykułu zachęcił mnie także fakt, że miasto Busk jest jednym z kilku ostatnich, które na łamach „Głosów” nie były jeszcze wspomniane.

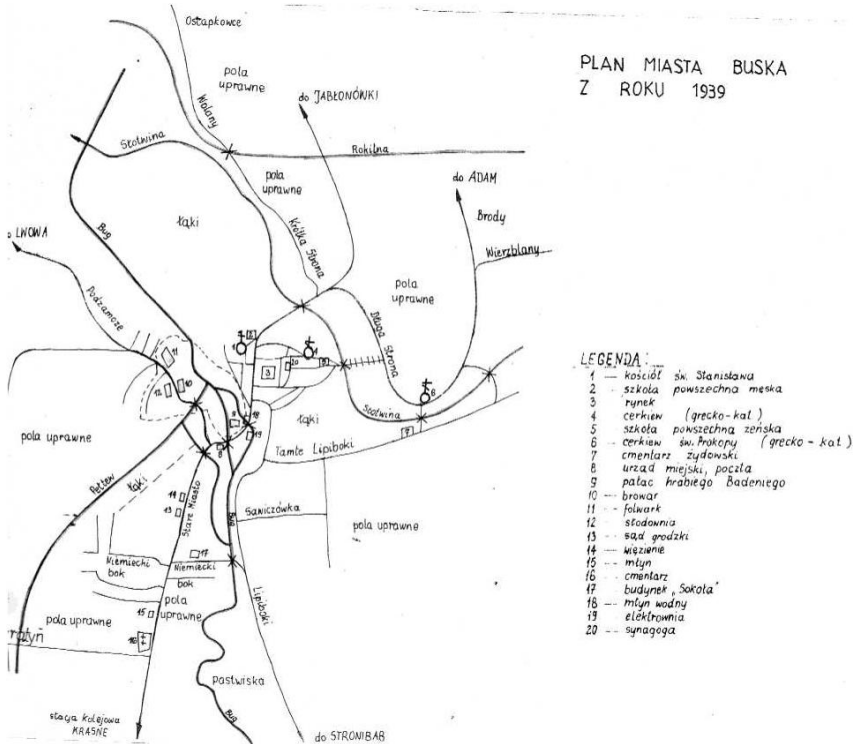
Busk – to jedno z najstarszych miast (a także wysuniętych na zachód) byłego województwa tarnopolskiego. Wspominał je w kronikach już w 1100 roku jako siedziba księstwa buskiego księcia Dawida Ihorowicza. Miasto Busk lokowane zostało w 1411 roku przez księcia mazowieckiego Siemowita IV jako jedno z pierwszych miast na Ukrainie. Otrzymało lokację na prawie magdeburskim. W swej historii było kilkakrotnie doszczętnie zniszczone – przez Mongołów (1278), Tatarów (1442), Kozaków (1654) oraz ponownie Tatarów (1672). Na domiar złego w 1849 roku Busk strawił pożar.

W czasach I Rzeczypospolitej Busk cieszył się wieloma przywilejami: w XV wieku posiadał przywilej połowu ryb oraz był siedzibą sądownictwa szlacheckiego. Z powodu iż miasto było własnością bezpośrednią króla, a nie magnatów, król Stefan Batory nadał mu tytuł „Królewskie Wolne Miasto Busk” – tytułu tego używały władze miasta do 1939 roku. W 1913 roku Busk liczył 8000 mieszkańców, w tym 3500 Polaków, 2700 Żydów oraz 1800 Ukraińców.

W latach 1918–1939 miasto należało do powiatu Kamionka Strumiłowa województwa tarnopolskiego. W 1938 roku Busk liczył 9000 mieszkańców. Od 1939 w ZSRR. W październiku 1939 roku w pałacu hr. Badenich NKWD stworzyło obóz dla polskich jeńców wojennych (900–1200 osób), którzy budowali szosę Lwów – Kijów. Warunki sanitarne, racje żywnościowe oraz opieka medyczna w obozie były fatalne. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 roku obóz ewakuowano na wschód. Podczas ewakuacji NKWD zamordowało w buskim więzieniu 35 więźniów. W czasie okupacji niemieckiej wymordowano prawie całą społeczność żydowską. 18 lipca 1944 roku Busk ponownie został zajęty przez Sowietów.

Obecnie Busk wraz z całym powiatem kamioneckim administracyjnie należy do obwodu lwowskiego. W mieście działa parafia rzymskokatolicka pw. Stanisława Biskupa Męczennika w kościele z XVIII wieku. Z zabytków zachował się także ratusz, cmen-

tarz z polską kwaterą wojskową z roku 1920, pałac Badenich⁵, kilka drewnianych cerkwi pod miastem, synagoga oraz szczątki kirkutu żydowskiego z najstarszym nagrobkiem żydowskim na Ukrainie (z 1520 roku). Zachował się także herb miasta – bocian biały stojący na jednej nodze, nadany przez króla Kazimierza IV Jagiellończyka w XV wieku. Obecnie Busk liczy 8600 mieszkańców.



Przez swoje położenie geograficzne nazywany był „galicyjską Wenecją”. Od jego południa płynie rzeka Pełtew oraz strumień Solotwina, który na północno-zachodnim skraju miasta wpada do Bugu. Te trzy ciekii wodne tworzą w okolicach Buska wielkie roz-

⁵ Pałac (wybudowany w 1810 roku) znajduje się w stanie z wyglądu dobrym (2020 r.), natomiast wewnątrz jest zdewastowany i niezabezpieczony. Do 2009 roku znajdowała się w nim jednostka wojskowa, potem przeszedł na własność ukraińskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W 2016 roku został uszkodzony przez pożar.

lewiska, które otaczają wzgórek, na którym miasto leży prawie w całości. Rozlewiska te rozciągają się na kilka kilometrów od Buska. Miasto leży 45 kilometrów na wschód od Lwowa, 40 km na południowy zachód od Brodów i 27 kilometrów na północny zachód od Złoczowa.

Powstanie „Sokoła” w Busku. 7 lutego 1867 roku we Lwowie powstało pierwsze na ziemiach polskich gniazdo „Sokoła”. Związek ten nie jest organizacją utworzoną w Polsce – pierwsze sokolnie powstały w Czechach (1862). Organizacja ta (która w szczątkowej formie istnieje do dziś) za zadanie stawiała krzewienie kultury fizycznej oraz patriotyzmu wśród młodzieży.

Na terenie województwa tarnopolskiego pierwsze koło „Sokoła” powstało w Tarnopolu w roku 1885 – pierwszym naczelnikiem został Stanisław Szyliński, w 1892 roku powstało koło w Czortkowie⁶, Trembowli i Założcu, w 1893 roku w Brzeżanach, Zbarażu i Złoczowie, w 1895: w Borszczowie, Buczaczu⁷ i Kopyczyńcach. W 1896 roku wraz ze wzrostem liczby gniazd sokolich i związanymi z tym problemami z zarządzaniem, utworzono w Galicji okręgi, których było siedem: krakowski, tarnowski, rzeszowski, przemyski, lwowski, tarnopolski i stanisławowski. Okręg tarnopolski otrzymał numer VI. W 1897 w okręgu było 11 gniazd, a w 1907 – 13. Po roku 1896 powstały jeszcze gniazda w Husiatynie (1904), Podwołoczyskach (1902), Skałacie (1903). W sprawozdaniach wcześniejszych przewijają się także gniazda w Budzanowie, Chorostkowie, Mielnicy, Mikulińcach oraz w Zborowie. W 1907 roku okręg tarnopolski liczył około 2500 członków, co było wynikiem średnim do innych okręgów; najliczniejszy okręg lwowski (V) liczył wtedy 5500 członków. Całość „Sokoła” w Galicji liczyła wtedy około 25 tysięcy członków

⁶ W książce Marka Ściślaka „Czortków w latach 1522–1946” z 1993 roku nie ma, niestety, o nim ani słowa. W „Głosach Podolan” nr 78 z 2006 roku ukazały się wspomnienia Jana Dobruckiego z czortkowskiego „Sokoła”.

⁷ Prezesem w Buczaczu był dr Edward Krzyżanowski, „Przewodnik Gimnastyczny Sokół” nr 3/1885, s. 3.

Gniazdo buskie powstało w roku 1904 i przydzielono je do okręgu lwowskiego (V)⁸.

Dzięki trosce p. Ludmiły Szałajewicz-Gumińskiej (zamieszkałej po wojnie w Nysie) zachowała się „Kronika Sokoła w Busku” którą to ona całą okupację oraz okres PRL przechowała. Znajduje się w niej akt poświęcenia kamienia węgielnego pod sokolnię w Busku w 1909 roku. Poniżej akt podaję w całości (pisownia oryginalna):

Akt poświęcenia kamienia węgielnego pod Sokolnię w Busku

Pierwsze gniazdo sokole polskie w Galicji powstało przed 42 laty we Lwowie – „SOKÓŁ MACIERZ”. Z biegiem czasu zawiązywano gniazda sokole także na prowincji, wzrosła idea sokoła tak, że obecnie Sokolstwo Polskie liczy w Galicji przeszło 25.000 członków w 195 gniazdach podzielonych na 7 okręgów ze związkiem na czele. Gniazdo Busk przydzielone do V okręgu powstało w 1904 roku i rozwijało się pomyślnie z roku na rok. W 1909 r. liczyło gniazdo w Busku 1 członka honorowego tj. Antoniego Schillera c.k. notariusza w Żółkwi i 125 członków zwyczajnych. Do wydziału⁹ należeli: dr. Bronisław Zaorski jako prezes, ks. Kazimierz Aktyl jako pierwszy zastępca prezesa, Józef Groński, Józef Pisarski, Władysław Ratajski, Władysław Rothlander, Władysław Roslanowski, Władysław Schetyna i Marian Krzaczkowski.

Wydział ten jak też wydziały poprzednie starał się usilnie zgromadzić fundusze celem posiadania własnego budynku. Wydatna pomoc J.E Kazimierza Badeniego t.j. dar 300.000 cegieł na budowę sokolni umożliwiła rozpoczęcie budowy w 1909 r., a w dniu dzisiejszym

⁸ W 2013 roku na Uniwersytecie Rzeszowskim obroniona została praca doktorska Macieja Śliza pt. „Towarzystwo Gimnastyczne »Sokół« w VI okręgu tarnopolskim w latach 1885–1939”. Z niej głównie pochodzą informacje o sokolniach spoza Buska.

⁹ wydział = zarząd - przyp. I.M.

dokonał najwielebniejszy ksiądz biskup dr. Bandurski¹⁰ poświęcenia kamienia węgielnego.

Busk dnia 16 września 1909 r.

Pod aktem poświęcenia podpisy złożyli wyżej wymienieni członkowie „wydziału”, a także nieujęci w nim Józef Górnicki i Józef Dobrowolski. Prócz członków zarządu podpisy złożyli: biskup Bandurski, Adam Thulie (Prezes Rady Parafialnej), Feliks Monsig (kierownik budowy) oraz członkowie rodziny Badenich: Maria Kazimierzowa Badeniowa, Wanda Adamowa Krasińska oraz Ludwik Badeni. W „Księżde pamiętkowej” znajduje się także kilkadziesiąt podpisów uczestników uroczystości, w tym m.in. Władysława Dębickiego – posła do Rady Państwa C.K., Zofii Studio – dyrektor szkoły żeńskiej czy Józefa Kędziarskiego – prezesa „Sokoła” w Brodach¹¹.

Dokładnie rok po poświęceniu sokolni poświęcony został sztandar, prawdopodobnie ufundowany częściowo z darowizn rodziny Badenich. Cdn.

Jerzy Miller
Poznań

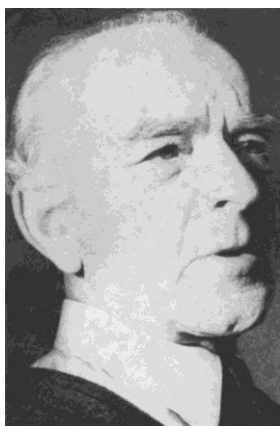
Zapomniani pisarze z Podola

Cz. II - Leopold Buczkowski (1905-1989)

Kolejną postacią, którą na łamach „Głosów Podolan” chciałbym przybliżyć, jest postać Leopolda Buczkowskiego – pisarza, malarza i grafika. L. Buczkowski urodził się 15 listopada 1905 roku we wsi Nakwasza, która znajdowała się na terenie woj. tarnopolskiego w gminie Suchowola powiatu brodzkiego.

¹⁰ Biskup Władysław Bandurski (1863 Sokal – 1932 Wilno), wielki polski patriota, kapelan Legionów Polskich, przewodniczący wileńskiego ZHP, jedyny kawaler orderu Virtuti Militari wśród biskupów. Od 1909 roku rektor Seminarium Duchownego we Lwowie, w latach 1890–92 był wikarym w Kamionce, a także katechetą w tamtejszej 5-klasowej szkole - przy p. I.M.

¹¹ Pełna lista znajduje się we wspomnianej już książeczce Jana Serby.



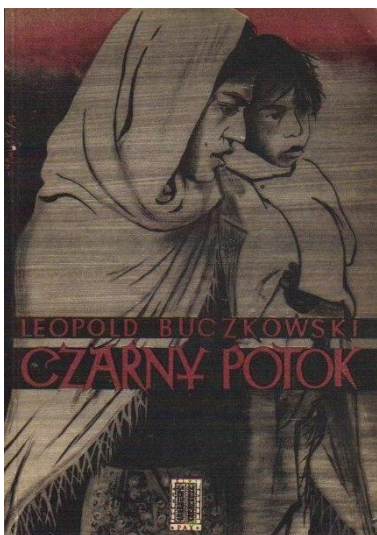
L. Buczkowski był synem Anny Zając i Tomasza Buczkowskiego - kustosza pałacu Koniecpolskich w Nakwaszy, który także zajmował się snycerstwem. Jego młodszym bratem był inny pisarz Marian Ruth Buczkowski (1910-1989). Dzieciństwo i młodzińcze lata Leopold spędza w Podkamieniu, gdzie ujawnia się jego talent malarcki i pisarski. Niedostatek i przymus podejmowania prac dorywczych współistniały z jego studiami polonistycznymi w Krakowie, oraz na warszawskiej ASP (pod kierunkiem Juliana Fałata).

W 1929 roku zadebiutował wierszem „Lato” wydrukowanym w „Gazecie Polskiej”.

Po powrocie do Podkamienia prowadzi teatr amatorski, dla którego napisał sztukę „Zabójstwo”. Prócz tego prowadził w Podkamieniu warsztat kamieniarsko-rzeźbiarski. Część jego rzeźb ocalała z zagłady pobliskiej wsi Huta Pieniacka (zostały one w ostatnich latach wyremontowane staraniem stowarzyszenia hutniaków).

L. Buczkowski od samego początku swojej wieloletniej twórczości zbierał i opracowywał folklor Podola. Zachęcony przez B. Leśmiana zaczął pisać pierwszą swoją powieść „Wertepy” (I wydanie w 1947 r.). W czasie kampanii wrześniowej 1939 roku dostaje się do niewoli, z której ucieka. W czasie okupacji zarówno sowieckiej jak i niemieckiej mieszka w Podkamieniu, gdzie współpracuje z ruchem oporu. Szczęśliwie unika śmierci z rąk UPA w czasie zagłady Podkamienia w 1944 roku (zginęło tam dwóch jego braci). Członek samoobrony w Nakwaszy. W 1944 roku ucieka do Warszawy, gdzie walczy w Powstaniu Warszawskim. Po powstaniu trafia do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd także ucieka.

W 1949 roku zamieszkał w podwarszawskim Konstancinie, zajmując się prócz pisarstwa, grafiką i ilustracją książek. Umiera 27 kwietnia 1989 roku w Warszawie w wieku 84 lat. Pochowany został na cmentarzu w Solimowie. W 1980 roku odznaczony został Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.



Drukiem wydano ponad 10 jego książek z czego największą popularnością cieszyły się, prócz wspomnianych „Wertepów”, powieści „Czarny Potok” (7 wydań), „Dorycki Krużganek” czy „Kąpiele w Lucca” (po 3 wydania). Książki L. Buczkowskiego są świadectwem heroicznej walki narodu polskiego wobec niemieckiego ludobójstwa w obronie człowieczeństwa. Najczęściej wznawiana powieść - „Czarny Potok” przedstawia losy mieszkańców podolskiej wsi, którzy prowadzą walkę z Niemcami i Ukraińcami. Ukazu-

je ona próby zachowania człowieczeństwa w chaosie, śmierci i cierpieniu.

Twórczość pisarska Leopolda Buczkowskiego stała się dokumentem ginącej kultury, obyczajów, wierzeń i języków Podola i Wołynia. Cechy jego warsztatu pisarskiego i twórczości literackiej to: autentyzm, dosadność i plastyczność obrazu. Pisał z całkowitym pominięciem podstawowych zasad prozy. Tym samym tworzył dzieła bardzo oryginalne, będące nietypowym, wysoko cenionym przez krytyków, eksperymentem.

Namawiam gorąco czytelników naszego kwartalnika do sięgnięcia do zapomnianej twórczości Leopolda Buczkowskiego. W jego pracach można odkryć wiele prawd o przeszłości oraz wskazań dla przyszłych pokoleń na temat uniwersalnych wartości polskiej kultury.

Redakcja „Głosów Podolan” zachęca czytelników do nadsyłania materiałów do publikacji na naszych łamach.

Szczególnie zachęcamy do nadsyłania materiałów do dwóch planowanych numerów specjalnych:

- wspomnienia serdeczne o Czortkowie

- policjanci woj. tarnopolskiego

Materiały najlepiej przesyłać drogą elektroniczną

lub tradycyjną – na adres podany w stopce redakcyjnej.

Marek Szpytko
Poznań

Wędrowniki po Kresach Cz. IV - ostatnia

Wolność zawitała na Wołyń, gdy w wyniku zakończonej ofensywy wojsk polskich jesienią 1920 r., wojska sowieckie wyparte zostały za rzekę Słucz. Historyczny polski Wołyń po 123 latach rosyjskiej niewoli znowu zmienił swoje terytorium, gdyż na mocy traktatu pokojowego z Rosją Radziecką, podpisanego 18 marca 1921 r., podzielony został pomiędzy Polskę i Ukraińską Republikę Radziecką z granicą na Słuczy. Po polskiej stronie pozostały takie miasta jak Łuck, Dubno, Równe, Włodzimierz Wołyński, Kowel, Sarny, Krzemieniec i Zviahel nad Słuczą (21.03.1920 r. zwycięska bitwa polskiej piechoty z wielokrotnie liczniejszymi wojskami bolszewickimi).

Józef Ignacy Kraszewski, mieszkaniec tych ziem, tak o nich pisał:

„Piękna to kraina ten nasz Wołyń rozległy (...). Spławne rzeki, ogromne lasy, łany urodzajne (...).

Nawet pamiątek uroczystych, tego nieopłaconego klejnotu, więcej u nas niż w prowincjach sąsiednich, zamczysk, podań, prastarych siekier kamiennych i świeżych jeszcze, ledwie z krwi oschłych grobowisk...”.

W wyniku traktatu powierzchnia województwa wołyńskiego zmniejszyła się prawie o połowę, to jest do 35 754 km/kw. i podzielona została na jedenaście powiatów ze stolicą w Łucku. Miało ono dość skomplikowaną strukturę narodowościową i religijną, która ukształtowała się w wyniku wielowiekowych procesów osadniczych. Wielkopolanin Edward Raczyński w podróży do Turcji w 1814 r. odwiedził Wołyń i tak odnotował w dzienniku podróży: „Trudno jest Polakowi zrozumieć język ruski, którym pospółstwo mówi w tym kraju. Jest to zapewne wielkim politycznym błędem przodków naszych, że się nie starali odmienić tego języka...” Nie

wiedział o tym, że na Kresach trwał wypracowany przez wieki model koegzystencji i jedyną szansą istnienia było poszanowanie i tolerancja.

Województwo w latach trzydziestych zamieszkiwało ponad 2 100 tys. obywateli bardzo wielu narodowości. Najliczniejszą grupę stanowili Ukraińcy, Rusini i Polacy około 67%, Polacy około 19%, Żydzi około 9%, Niemcy 2%, Czesi 1,5% i 1,5 % innych nacji.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. zapas cywilizacyjny na tych obszarów była ogromna, co wynikało głównie z tendencyjnej polityki zaborcy, jakim była Rosja carska. Prawie 70% ludności stanowili analfabeci, w tym 50% osób powyżej 10 roku życia nie umiało czytać, a 30% dzieci do 10 roku życia nie chodziło do szkoły. Był to największy odsetek w Polsce. Mimo bardzo żyznych gleb i dobrej struktury gospodarstw, stosowano trójpolówkę, brak było sieci drogowej i kolejowej, szkół, szpitali i przemysłu. W województwie 20% gospodarstw miało powyżej 2 ha, 60% gospodarstw miało powyżej 10 ha i 20% miało od 50-100 ha. Gospodarka w okresie międzywojennym w 85% oparta była na rolnictwie, w 5% na przemyśle i w 10% na innych działalnościach. Jako ciekawostkę podam, że na Wołyniu, w porównaniu do reszty kraju, najlepiej rozwinęła się hodowla owiec merynosów i najwcześniej uprawiano tytoń.

Igor Megger
Poznań

Idzie nowe... - IX Zjazd wyborczy TMLiKPW zakończył obrady

„Idzie nowe” takie słowa padały z ust większości uczestników Zjazdu Sprawozdawczo-Wyborczego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, który odbył się 23 i 24 października 2021 r. we Wrocławiu. Opinie te spowodowała niespodziewana, prawie całkowita wymiana głównych władz Towarzystwa – Zarządu Głównego, Głównej Komisji Rewizyjnej oraz

Głównego Sądu Koleżeńskiego, które w większości były te same od kilkunastu lat.

Zjazd odbył się w hotelu „Agrohotel” przy ul. Zwycięskiej. Organizator zapewnił w hotelu noclegi i wyżywienie. Na sali plenarnej uczestnicy zjazdu mieli możliwość zapoznać się z wydawnictwami kresowymi oraz wystawą Oddziału Bolesławieckiego dotyczącą remontów cmentarzy we Lwowie. W zjeździe brało udział 57 delegatów na 65 uprawnionych, oraz zbliżona liczba gości. Spowodowało to dużą frekwencję na zjeździe. Na każdy oddział przypadał jeden delegat na 30 członków, oraz jeden gość. Zjazd prowadziła Janina Półtorak z Tych.

Cały pierwszy dzień zjazdu miał bardzo burzliwy przebieg. Szczególnie dyskutowano sposób przygotowania zjazdu od strony merytorycznej. Delegaci przegłosowali, że proponowany sposób wyboru prezesa tj. pośrednio przez Zarząd jest niezgodny ze statutem. Spowodowało to osobne wybory na prezesa oraz do głównych władz Towarzystwa. Na stanowisko prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa kandydowały dwie osoby: Andrzej Kamiński – dotychczasowy prezes z blisko 30-letnim stażem, oraz Adam Kiwacki – prezes oddziału w Częstochowie. W głosowaniu tajnym wynikiem 33 do 23 przy jednym głosie nieważnym zwyciężył Adam Kiwacki.

Wybory do zarządu przyniosły kolejną niespodziankę: otóż większość z dotychczasowych członków zarządu nie kandydowała na następną kadencję. Kilka osób ze starych władz nie dostało się do zarządu i zostali członkami rezerwowymi. Z prezydium „starych” władz do nowego zarządu dostała się tylko Jolanta Kołodziej-ska z Opola, która ponownie objęła funkcję sekretarza. Dodać należy, że dokonała się także prawie całkowita zmiana pokoleniowa – większość w nowym zarządzie stanowią osoby urodzone po 1945 roku. Całkowite zmiany przyniosły także wybory do Głównej Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskiego.

Po wyborach odbyła się uroczysta kolacja, przy której przygrywały „Tylicentne Batiary” z Bytomia. W czasie tej kolacji nowo wybrany i ustępujący prezes wzniesli wspólny toast. Nowo wybra-

ny prezes podziękował dr. Andrzejowi Kamińskiemu za wieloletnią pracę na rzecz Towarzystwa, a zgromadzeni odśpiewali mu kilkakrotnie „sto lat”.

Drugi dzień zjazdu poświęcony był na ukonstytuowanie się nowych władz, a także na przedstawienie i przegłosowanie wniosków i uchwał zjazdowych. Wśród ważniejszych uchwał zjazdowych: dalsze wydawanie kwartalnika „Semper Fidelis” z dotychczasową redakcją, wznowienie prac nad książką dokumentującą historię TMLiKPW, podniesienie składki członkowskiej na min. 40 zł (rocznie) przez oddziały, przyznanie trzech tytułów „honorowego członka TMLiKPW”. Otrzymali je:

- Andrzej Kamiński – Wrocław, prezes Zarządu Głównego TMLiKPW przez blisko 30 lat
- Danuta Śliwińska – Bydgoszcz – wieloletnia wiceprezes ZG TML i KPW, prezes oddziału w Bydgoszczy
- Stanisław Czerny – Kraków – żołnierz lwowskiego okręgu AK, wieloletni prezes oddziału w Krakowie.

Wśród wniosków zjazdowych dla nowego zarządu: ustalenie regulaminu dysponowania „Funduszem Lwowskim”, ustalenie regulaminu pracy zarządu, organizowanie zjazdów prezesów oddziałów, organizowanie posiedzeń zarządu „w terenie”.

Jeżeli chodzi o Oddział Poznański to z jego ramienia w zjeździe brały udział trzy osoby: Katarzyna Kwinecka i Janusz Furmaniuk jako delegaci i Igor Megger jako gość. Pani Kwinecka brała czynny udział w pracach komisji wyborczej, natomiast piszący te słowa został wybrany na sekretarza Głównego Sądu Koleżeńskiego. Kandydat poznańskiego oddziału do zarządu Michał Wojtaś wybrany został zastępcą członka zarządu. Do komisji uchwał i wniosków wpłynął nasz wniosek, by nowy zarząd skierował pismo do władz polskich, by wymogły na władzach ukraińskich wznowienie ekshumacji ofiar OUN-UPA. W czasie zjazdu reklamowano także nasze „Głosy Podolan”.

Te wielkie zmiany spowodowały, że, jak wspomniałem, „idzie nowe”. Liczymy, że odmłodzenie władz spowoduje zwiększenie aktywności, która w ostatnich latach, nie oszukujmy się, była

mierna. Nowy zarząd czeka naprawdę wiele pracy. Moim zdaniem najważniejsze kierunki to po pierwsze: nagłośnienie Towarzystwa jako instytucji w kraju. Zostało nas ok. 1500 członków w 52 oddziałach, co daje średnio 28 osób na oddział. Tylko kilka oddziałów w kraju liczy ponad 100 członków. W ciągu ostatnich trzech lat ubyło aż 600 członków i 4 oddziały. To straszny spadek, który trzeba zatamować.



Od lewej: nowo wybrany prezes ZG TMLiKPW Adam Kiwacki, ustępujący prezes Andrzej Kamiński, śpiewający batiar Adaśku Żurawski.

Nowy zarząd czeka naprawdę dużo pracy. Delegaci obdarzyli go dużym kredytem zaufania. Wszyscy trzymamy kciuki, że zmiany ostro ruszą naprzód, bo zaległości się naprawdę nawarstwiły i są wielkie do tego stopnia, iż mamy nadzieję, że nowego zarządu „nie wystraszą”. Dziękując ustępującym władzom za wieloletni trud, kibicujemy nowym, by postawiły nasze Towarzystwo na nogi.



Z żalem informujemy, że w ostatnim czasie doszło do nas kilka smutnych wiadomości – odeszły na wieczną wartę kolejne wartościowe osoby, które współpracowały z naszym czasopismem.

Ś.P. Anna Madej 1948-2021



10 listopada 2021 w Krakowie zmarła Anna Madej. Rodzice pani Anny pochodzili z Czortkowa. Zmarła była bardzo zaangażowana w ruch kresowy, szczególnie w środowisku Tarnopolan. Była prezesem Klubu Tarnopolan przy Krakowskim TMLiKPW (od 2002 r.), wiceprezesem krakowskiego oddziału TMLiKPW, członkiem redakcji kwartalnika „Cracovia Leopoliis”, a także kilkakrotnie organizatorem zjazdów Tarnopolan. Do ostatnich dni życia czynnie zaangażowana, o czym świadczy Jej artykuł w ostatnim numerze „Głosów”. Wraz z Jej śmiercią ruch kresowy poniósł dużą stratę. Zawodowo związana z Politechniką Krakowską, gdzie pracowała jako lektor języka angielskiego. Wieloletnia współpracowniczka i prenumeratorka naszego pisma.

Ś.P. Maria Ohde 1935-2021



11 grudnia 2021 roku zmarła w Warszawie w wieku 86 lat p. Maria Ohde, pochodząca z Jazłowca k. Buczacza, wieloletnia skarbnik Klubu „Podole” przy stołecznym oddziale TMLiKPW. Msza święta poświęcona Zmarłej odbyła się 21 grudnia 2021 w kościele Narodzenia NMP w Warszawie – Białołęce.

Serdeczne wyrazy współczucia rodzinie składają zarząd i członkowie Klubu „Podole”

Ś.P. Krystyna Adamczuk 1929 – 2022

2 lutego br. na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu pożegnaliśmy czortkowską Krystynę Adamczuk. Ś.P. Krystyna urodziła się 20 kwietnia 1929 roku w Czortkowie – mieszkała przy ul. Zamkowej. Po 1990 roku aktywny członek „działacz motor” wrocławskiego Oddziału TML „Czortków”. Przez wiele lat pełniła funkcję sekretarza oddziału, a po śmierci Lecha Rębochy przez 1,5 kadencji pełniła funkcję prezesa oddziału. Do śmierci aktywna, w stałym kontakcie z naszą redakcją. Zmarła 19 stycznia br. we Wrocławiu.

Ś.P. Władysław Ostrowski 1928 – 2022

26 stycznia 2022 w Szczecinie zmarł czortkowiak Władysław Ostrowski. Pochodził z patriotycznej rodziny – ojciec był w Legionach, brat Tadeusz był członkiem czortkowskiego AK, brał udział w wykonaniu wyroku śmierci na naczelniku czortkowskiego więzienia. Ś.P. Władysław jako nastoletni chłopak brał udział w tajnych kompletach. Po 1990 czynnie zaangażowany w pomoc Polakom, którzy pozostali w Czortkowie, wraz z rodziną ufundował kopię obrazu Matki Bożej z Różą, która to obecnie znajduje się w

tamtejszym kościele ojców Dominikanów. Do śmierci w pełni sprawny umysłowo - jeszcze tydzień przed śmiercią korespondował z nami e-mailowo. Pochowany został 1 lutego na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

Dotarły do nas także smutne wieści o śmierci naszych wieloletnich prenumeratorów: **Jadwigi Doroby** i **Zbigniewa Błaszczaka** z Warszawy oraz **Stanisława Ziółkowskiego** i **Otto Czuchrowskiego** z Wrocławia - obaj Panowie byli wieloletnimi działaczami wrocławskiego Oddziału „Czortków”

Cześć Ich pamięci!

**Koledze Cezaremu Żyromskiemu
z powodu śmierci Syna Mariusza
wyrazy najgłębszego współczucia składają
współpracownicy z redakcji „Głosów Podolan”**

Igor Megger

Poznań

**Żegnamy zasłużonych krajan z naszego województwa,
zmarłych w okresie IV 2021- XII 2021**

Julian Toporowski zm. 15.06.21 w Kluczborku. Urodzony w 1929 roku w Tarnopolu. Twórca i ordynator szpitala położniczego w Kluczborku. Był współtwórcą i opiekunem harcerstwa niepokornego w Kluczborku, z którego wywodzi się dzisiejszy ZHR. Jako Druh Eskulap działał w harcerstwie również jako lekarz i senior harcerski w stopniu Harcerza Rzeczypospolitej.

Franciszek Surmiński zm. 2.10.21 w Prudniku. Urodzony 5 grudnia 1934 we wsi Dmuchańce pow. tarnopolski, kolarz szosowy i przełajowy, mistrz Polski, trener kolarstwa.

Wilhelm Kisielewski zm. 10.10.21 we Wschowie. Urodzony 2 maja 1941 r. w Tarnopolu, zasłużony pedagog, wieloletni nauczyciel w szkole w Osiecznej (pow. leszczyński).

Janusz Witowicz zm. 2.11.21 w Rzeszowie. Urodzony 16 grudnia 1937 r. w Tarnopolu, artysta fotografik. Członek rzeczywisty Okręgu Krakowskiego Związku Polskich Artystów Fotografików oraz Rzeszowskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Edward Tomenko zm. 15.11.21 w Bytomiu. Urodził się w 1934 roku w Czortkowie, rysownik, satyryk. W okresie PRL-u był stałym współpracownikiem tygodników satyrycznych - „Karuzeli” i „Szpilek”. Jego rysunki były wystawiane i nagradzane na konkursach w wielu krajach, między innymi w Japonii.

Gabriel Turowski zm. 2.12.21 w Krakowie. Urodził się 21 lutego 1929 r. w Monasterzyskach pow. Buczacz, profesor nauk medycznych, specjalizujący się w immunologii klinicznej, doktor bakterjologii i mikrobiologii. Był członkiem międzynarodowego 6-osobowego konsylium specjalistów z całego świata zwołanego przez Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej do oceny przebiegu leczenia Jana Pawła II po zamachu na Jego życie.

Cześć Ich pamięci!

Hanna Dobias-Telesińska
Poznań

Żegnamy zmarłych członków TMLiKPW w Poznaniu w 2021 roku



2 kwietnia 2021 r. zmarł **prof. dr hab. Wiesław Jamrozek**, członek naszego Oddziału od 17 września 1992 r., profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, wybitny historyk wychowania, specjalista z zakresu dziejów myśli edukacyjnej XIX i XX wieku, członek Komitetu Nauk Pedagogicznych Polskiej Akademii Nauk, prezes i członek zarządu Towarzystwa Historii Edukacji, członek Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, redaktor naczelny Biuletynu Historii Wychowania, lubiany przez studentów wykładowca, szanowany i serdeczny współpracownik, wnikliwy i dociekliwy badacz. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w sobotę 10 kwietnia 2021 r. na cmentarzu ul. Łowmiańskiego w Poznaniu (cmentarz na Os. Bolesława Chrobrego).



5 kwietnia 2021 r. zmarła **Teresa Mayer „Lena”** z d. Link-Lenczewska. Pogrzeb odbył się 17 kwietnia 2021 r. na cmentarzu parafialnym w Puszczykowie k. Poznania. Teresa Mayer urodziła się 7 sierpnia 1929 r. w rodzinnym majątku Czarne Niwy w woj. tarnopolskim. Od 1960 r. do emerytury pracowała w Oddziale Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Poznaniu. Do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wstąpiła w 1989 r. Była członkiem założycielem (legitymacja nr 8), a przez dwie kolejne kadencje w Zarządzie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Złotą Odznakę Miło-

śników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich otrzymała w 2004 r.¹²



W wieku 97 lat, 2 czerwca 2021 r. zmarł członek naszego Towarzystwa **prof. Jerzy Albrycht**, „ostatni lwowski matematyk”. Profesor urodził się we Lwowie 12 lutego 1924 r. Podczas okupacji niemieckiej pracował w słynnym instytucie prof. Rudolfa Weigla. Od 1946 do 1972 r. prof. Albrycht pracował i awansował w Katedrze Matematyki Uniwersytetu Poznańskiego, którą kierował nieprzerwanie lwowiak prof. Władysław Orlicz. W 1984 r. otrzymał nominację na profesora Politechniki Poznańskiej – obowiązki profesorskie pełnił aż do przejścia na emeryturę w 1990 r. Profesor Jerzy Albrycht do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wstąpił 16 marca 1989 r. Uroczystości pogrzebowe odbyły się na cmentarzu Junikowskim 16 czerwca 2021¹³.

17 grudnia 2021 r. na cmentarzu Junikowskim w Poznaniu odbyły się uroczystości pogrzebowe długoletniego członka poznańskiego Oddziału TMLiKPW **Jana Długosza**. Zmarły urodził się 15 grudnia 1926 roku we wsi Nadyby k. Starego Sambora, w województwie lwowskim. Zawodowo związany z Wielkopolskim Przedsiębiorstwem Robót Inżynierskich w Poznaniu, gdzie pracował na stanowisku głównego księgowego. Członek poznańskiego Oddziału TMLiKPW od 1990 roku.

¹² Biogram i wspomnienie o ŚP p. Mayer ukazały się w 153 numerze „Głosów”

¹³ Biogram i wspomnienie o ŚP prof. Albrychcie ukazały się w numerze 154

W roku 2021 pożegnaliśmy także kilkoro przyjaciół naszego towarzystwa. Do lepszego ze światów odeszło



dwóch laureatów nagrody „Semper Fidelis” – p. **Szczepan Siekierka** – niestrudzony wielki badacz rzezi wołyńskiej, oraz p. **Emilia Chmielowa** – wieloletnia Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie¹⁴, a także pożegnaliśmy **druha Pawła Napieralskiego**. Zmarły 16 kwietnia druh Paweł był całym sercem zaangażowany w ruch harcerski. Był instruktorem, komendantem hufców, przewodniczącym Wielkopolskiej Rady Kręgów Starszyny Harcerskiej i Seniorów oraz

Przewodniczącym Komisji Historycznej Chorągwi ZHP. W ostatnich latach aktywnie wspierał nas wraz z harcerzami i harcerskimi seniorami w organizowaniu m.in. Dni Lwowa i Akcji Charytatywnej „Serce dla Lwowa”.

Pogrzeb hm. Pawła Napieralskiego odbył się 28 kwietnia 2021 roku o godz. 13.10 na cmentarzu Junikowskim w Poznaniu. Poprzedziła go msza św. o godz. 11.00 w kościele Najświętszego Zbawiciela przy ul. Fredry w Poznaniu.

Hanna Dobias-Telesińska
Poznań

Działalność poznańskiego Oddziału TMLiKPW w 2021 roku

Pomimo stanu pandemii w kraju, udało nam się kontynuować naszą działalność statutową bez większych zakłóceń. W związku z tym, że większość wydarzeń była już na łamach „Gło-

¹⁴ Sylwetki laureatów przybliżyliśmy w numerze 151 w 2018 r., wspomnienie o p. Siekierce ukazało się w numerze 152, o p. Chmielowej w numerze 153.

sów” opisywana na bieżąco, w tym roku sprawozdanie z działalności podzielone będzie zagadnieniami, a więcej miejsca poświęcę temu, co opisane jeszcze nie było.

XXIV Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu opisaliśmy szeroko w poprzednim – 155 – numerze „Głosów Podolan” więc tylko przypomnę: 6 czerwca 2021 r. na Starym Rynku w Poznaniu odbył się **Piknik Lwowski** z udziałem m.in. Orkiestry Reprezentacyjnej Sił Powietrznych Wojska Polskiego czy zespołu „Tiligentne Batia-ry”. Kolejnym etapem Dni Lwowa był **Dzień Jedności Kresowian**, który odbył się 4 października 2021 r. Po uroczystej mszy św. w kościele pw. św. Małgorzaty na Śródcie, zgromadzeni udali się do przykatedralnej salki, gdzie odbyła się uroczystość wręczenia statuetki „**Semper Fidelis**” pani Teresie Dutkiewicz – działaczce polonijnej ze Lwowa. Pani Teresa była u nas kilka dni w gościnie wraz z paniami Haliną Makowską i Stanisławą Nowosad. Ostatnim etapem było otwarcie **wystawy fotografii** prof. Tadeusza Cypriana, które połączone zostało z dwoma wykładami przybliżającymi jego postać. Wydarzenie to odbyło się 6 października 2021 r. na wydziale prawa UAM.

Pamięć: 11 lipca 2021 r. w rocznicę ludobójstwa Polaków przez OUN-UPA odprawiona została msza św. w kościele o.o. Dominikanów za ofiary ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na ludności polskiej. Nasz oddział był głównym organizatorem tej uroczystości. Zorganizowaliśmy także tego dnia uroczystości w kościele pw. św. Jana Kantego, oraz braliśmy udział w uroczystościach przy pomniku „Orlikom Kresowych Stanic” w Czerwonaku.

17 września 2021 r. nasza delegacja złożyła wieniec przy „pomniku katyńskim” w czasie uroczystości organizowanych przez Wojewodę Wielkopolskiego. Nasi członkowie dbali także przez cały czas o tablicę przy kościele Dominikanów okresowo ją czyszcząc i zapalając pod nią znicze. Braliśmy także udział w innych uroczystościach nieorganizowanych przez nas m.in. rocznica „akcji Burza” czy wybuchu wojny 1 września.

W 2021 na wniosek poznańskiego oddziału przyznano **złotą odznakę TMLiKPW** – otrzymał ją pan Franciszek Bąkowski –

świadek zagłady Huty Pieniackiej, inicjator nagłaśniania tych tragicznych dni. W październiku 2021 r. na wniosek naszego oddziału, członek naszego Towarzystwa pan Zbigniew Maurycy Kowalski odznaczony został nadanym mu przez prezydenta RP **Złotym Krzyżem Zasługi**. Pan Kowalski urodził się w 1924 r. na Roztoczu. W czasie wojny aktywnie działał w podziemiu niepodległościowym. Po wojnie więzień UB. Od 2009 roku członek Poznańskiego Oddziału TMLiKPW. Najważniejszym osiągnięciem Z.M. Kowalskiego godnym uhonorowania odznaczeniem państwowym jest fakt, iż 2004 roku na swojej działce w Czerwonaku przy ul. Okrężnej ufundował i postawił pomnik poświęcony „Orlikom Kresowych Stancie”. Pomnik ten upamiętnia uczestników bitwy pod Panasówką, w której harcerze Szarych Szeregów rozbili czterokrotnie silniejsze oddziały UPA ratując przed eksterminacją 20 tys. mieszkańców m. Załóżce w pow. zborowski woj. tarnopolskiego. Pomnik wraz z działką, na której się znajduje, pan Kowalski przekazał na własność gminie Czerwonak. Od tego czasu rokrocznie jest współorganizatorem apelu pamięci ofiar Wołynia 11 lipca.



Z.M. Kowalski (w środku) z córką i poznańskimi Kresowiakami

W dniu 1 listopada na naszej stronie www umieszczono wykaz kilkunastu grobów osób zasłużonych dla Towarzystwa oraz lwowian zasłużonych dla Poznania. Wiele z tych grobów nasi członkowie odwiedzili w tym dniu. W związku z tym, że niestety kilkoro naszych członków odeszło „na wieczną wartę”, zawsze w miarę możliwości, brała w uroczystościach pogrzebowych udział nasza delegacja.

W dalszym ciągu kontynuujemy podjęte w latach ubiegłych starania o upamiętnienie ulicą Tadeusza Zygfryda Kasserna – wybitnego lwowsko-poznańskiego kompozytora, oraz o ekshumację w godniejsze miejsce ks. Piotra Struszkiewicza – ostatniego proboszcza w Przemyślanach. W listopadzie 2021 zajęliśmy się sprawą uchronienia od likwidacji grobu prof. Alfreda Ohanowicza – lwowianina, prawnika, jednego z twórców Uniwersytetu Poznańskiego. Obecnie podejmujemy starania, by ten grób ocalić.



Od lewej: T.Z. Kassern, ks. P. Struszkiewicz, prof. A. Ohanowicz

Działalność charytatywna: O naszej działalności charytatywnej pisze w numerze bieżącym kolega Staszek Łukasiewicz, więc nie będę powtarzać jego słów, chciałabym natomiast dodać, że pomimo stanu pandemii i ograniczeń na granicy akcją należy uznać za naprawdę udaną. Poznaniacy jak co roku szczerze otworzyli serca (i portfele) dla swych rodaków z Kresów.

W grudniu tak jak i w roku poprzednim nie zapomnieliśmy o naszych członkach, którzy ze względu na stan zdrowia, nie biorą

aktywnego udziału w życiu Oddziału. Z drobnymi upominkami, nasze delegacje odwiedziły blisko 10 takich osób. Wszystkie spotkania były bardzo udane. Starsi Kresowianie bardzo się cieszyli z odwiedzin. Były wspomnienia i opowieści o sytuacji w naszym Towarzystwie. Chwile spędzone z naszymi Seniorami dały im wiele radości. Przekonaliśmy się, że takie świąteczne spotkania są potrzebne, dają im poczucie, że nie zapominamy o nich.

Działalność wydawnicza: W 2021 roku przypadła 65 rocznica protestu poznańskich robotników, powszechnie nazywanego „Czerwiec 56”. Z tej okazji wydaliśmy Biuletyn Informacyjny – wydanie specjalne – pt. „Czerwiec 56 oczami poznańskich Kresowian”. Zawiera on wspomnienia Kresowian, którzy byli świadkami lub uczestniczyli w tych wydarzeniach, oraz rys historyczny zdarzeń i sylwetki ważniejszych postaci z Kresów, które z tym dniem są związane. Wydaliśmy także drukiem tomik wierszy Stanisławy Nowosad pt.: „Polska to najpiękniejsze słowo świata”. W roku 2021 ukazały się drukiem cztery regularne numery „Głosów Podolan”, oraz numer specjalny o Zaleszczykach. W wersji cyfrowej ukazała się blisko 100-stronicowa „Bibliografia” „Głosów”, która prócz spisów treści 150 numerów zawiera także indeksy autorów i geograficzny wykaz nekrologów. Prócz tego kilkoro naszych członków publikuje artykuły na łamach prasy kresowej (Semper Fidelis, Kurier Galicyjski itd.) oraz na naszej stronie internetowej www.lwowiacy.pl

Spotkania „w biurze”: Pomimo pandemii, w miarę możliwości regularnie odbywały się środowiskowe spotkania towarzyskie w naszym biurze. Prócz pierwszych śród miesiąca, które od lat przeznaczone są na posiedzenia Zarządu, pozostałe środy miały charakter towarzyski. Prócz obchodzenia imienin czy zakupu prasy, przyjeśliśmy także kilku gości i odbyliśmy kilka pogadanek. Naszymi gośćmi były wyżej wspomniane Panie ze Lwowa, a w listopadzie nasze biuro odwiedził syn Eugeniusza Kosteckiego – jednej z ofiar mordu na Wzgórzach Wuleckich. W styczniu 2021 odbyło się spotkanie kolędowe, a we wrześniu kol. Megger wygłosił pogadankę o ciekawostkach geograficzno-przyrodniczych Podola.

Niestety z powodu epidemii odwołać musieliśmy spotkania świąteczne – bożonarodzeniowe i wielkanocne. Od listopada trwa porządkowanie naszej oddziałowej biblioteki (ok. 400 pozycji), w zakresie inwentaryzacji, a także opracowania katalogu cyfrowego.

Pozostała aktywność: 12 czerwca w Pałacu Działyńskich gościliśmy Tomasza Kubę Kozłowskiego z warszawskiego Domu Spotkań z Historią z wykładem na temat „Uzdrowiska na Kresach”. Prócz wykładu, osoby chętne mogły się w hallu zapoznać z naszą wystawą nt. wielokulturowości Kresów.

4 października 2021 r. nasza delegacja brała udział w poświęceniu i **odświeżeniu pomnika** 90 poległych mieszkańców Winiar w latach 1914-1921. Wśród poległych są także uczestnicy walk o Lwów i Kresy Wschodnie. Pomnik jest wierną kopią oryginału z 1923 roku, który został zburzony przez Niemców w 1939 r.

21 listopada 2021 r. w Domu Polonii odbył się Niepodległościowy **Salon Lwowski**. Prelekcję „Praktyczne zastosowanie umiejętności staropolskiej sztuki walki – polscy wojownicy na polu bitwy w XVI-XVII wieku w oparciu o wybrane przykłady” wygłosił Leonard Marynowski. Spotkanie rozpoczęliśmy odśpiewaniem hymnu i toastem za Ojczyznę wzniesionym tym razem miodem pitnym.

Podsumowując uważam, że ubiegłoroczna działalność Poznńskiego Oddziału TMLiKPW była owocna. Pandemia ograniczyła nasze możliwości działania, ale ich nie przekreśliła. Musieliśmy włożyć więcej wysiłku, by zaplanowane przedsięwzięcia wykonać. I to się nam udało.

Stanisław Łukasiewicz
Poznań

Sprawozdanie z przebiegu XXXVII Akcji Charytatywnej „Serce dla Lwowa” w 2021 roku

Przygotowania do XXXVII Akcji Charytatywnej rozpoczęły się w II połowie 2021 roku i polegały na przygotowaniu zespołów, które podjęłyby się jej przeprowadzenia.

W 2021 roku analogicznie jak w 2020 akcja oparta została na zbiorce środków finansowych. Taka forma uzasadniona była następującymi faktami:

- Kłopotami z przekroczeniem granicy z darami w 2019 roku, kiedy to nie wpuszczono na teren Ukrainy darów, koniecznością pozostawienia ich w Przemyślu oraz późniejszym przedostaniu w ilości ok. 70%. Pozostałe paczki zostały w Przemyślu do dyspozycji kościelnych służb charytatywnych.
- Coraz większymi kosztami transportu darów oraz utrzymania wolontariuszy we Lwowie.
- Coraz mniejszą liczbą członków Towarzystwa zainteresowanych w jej przeprowadzeniu ze względu na wiek a także zmniejszającym się stanem liczbowym członków w Towarzystwie.

Biorąc pod uwagę fakt, że jesienią odwiedzi nas grupa lwowian postanowiliśmy zorganizować według wzorów tradycyjnych z lat ubiegłych jedną zbiórkę darów. Przy sporych kłopotach organizacyjnych zbiórka ta została przeprowadzona. Podczas niej zebrano:

- słodycze (cukierki, batoniki, czekoladę, wafle itp.) prawie 4 kartony
- artykuły szkolne – 0,5 kartona
- środki trwale żywnościowe – 3,5 kartona
- art. chemiczne (środki czystości, sanitarne itp.) – 2 kartony
- art. żywnościowe typu makaron, mąka, kasze itp. 2 kartony
- środki finansowe do puszek kwestarskich.

Dary te prawie w całości udało się przesłać do Lwowa, gdzie zostały przekazane:

- słodycze dla dzieci na Mikołaja do Strzałkowic oraz częściowo do Szczerca
- żywność oraz środki żywnościowe do Szczerca oraz częściowo do Lwowa.

Podstawowa forma zbiórki to środki finansowe, do realizacji której zostały powołane sztaby akcji oraz osoby indywidualne organizujące zbiórkę we własnym środowisku. Poszczególne sztaby przyjęły różne formy organizacji zbiórek.

Zbiórkę do puszek kwestarskich przyjęły sztaby:

- Zespół Szkół Podstawowych w Luboniu pobrano 4 puszki
 - TMLiKPW zbiórka w Markecie – 7 puszek
 - ZHR Szczep w Kostrzynie Wlkp. – 3 puszki
 - Szczep ORLETA ZHR Poznań os. Rusa – 3 puszki
 - Szkoła Podstawowa nr 46 w Poznaniu – 4 puszki
 - Szkoły Podstawowe nr 1 oraz nr 2 w Suchym Lesie – 6 puszek
 - TMLiKPW Poznań kol. W. Butowska 3 puszki
 - Szkoła Podstawowa w Rudnikach – 6 puszek
 - ZHP Poznań hufiec Śródmieście „Czarna trzynastka” – 4 puszki
- Indywidualne formy pozyskiwania środków organizowały 2 sztaby:
- Liceum Ogólnokształcące nr 1 im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu
 - Zespół Szkół nr 2 w Szamotułach
- oraz 2 indywidualne.

W związku z istniejącą sytuacją pandemiczną część sztabów wniosła o przedłużenie czasu trwania akcji, a zakończenie zbiórek dla sztabów:

- Szkoła Podstawowa w Rudnikach
- Zespół Szkół Podstawowych w Luboniu
- Szkoła Podstawowa nr 46 w Poznaniu
- Szczep ORLETA ZHR Poznań os. Rusa
- Szkoła Podstawowa nr 1 w Poznaniu
- indywidualnie – Paweł K.

presunięto na koniec marca 2022 roku.

Środki na akcję charytatywną 2021 roku pochodziły z następujących źródeł:

1. Ze zwróconych 17 puszek (środki zostały zaksięgowane w 2021 roku) z 43 wydanych w których, po przeliczeniu wpłacono na konto bankowe kwotę9432,27 zł
 2. Dwa sztaby zakończyły akcję organizując akcję na własny Sposób przez szkolne zespoły wolontariatu i przekazały kwotę6100,60 zł
 3. Z zorganizowanej 1 zbiórki wewnętrznej zebrano343,36 zł
 4. Z wpłat na konto z tyt. odpisu 1% od podatku wpłynęło6256,50 zł
 5. Z tyt. indywidualnych wpłat na konto poprzez „Zrzutkę”1263,50 zł
 6. Indywidualne wpłaty darczyńców na konto bankowe2270,00 zł
- Łączna kwota przychodów na rzecz Akcji Charytatywnej w 2021 roku wyniosła złotych **25666,23 zł**
- Niektóre wpływy zostały zaksięgowane w styczniu i zostaną rozliczone już w 2022 r. Rozdysponowanie darów w 2021 roku nastąpiło dwukrotnie – we wrześniu oraz listopadzie.
- Na podstawie przygotowanej listy naszych podopiecznych dokonano łącznie 79 wypłat po 1200 hrywien dla każdej osoby, co po przeliczeniu na złote polskie wyniosło14341,52 zł
- Wypłacono 2 darowizny dla 2 osób zajmujących się osobami chorymi, niepełnosprawnymi na bieżące koszty pomocy (Uchwała Zarządu Oddziału) kwotę2000,00 zł
- Dopłacono dla dzieci (50) na paczki św. Mikołaja w Szczercu.....2000,00 zł
- koszty – ulotki, puszki itp.....308,18 zł
- koszty ulotek, puszek, delegacji oraz koszty rozwożenia transportem prywatnym po Lwowie.....3200,00 zł
- Łącznie rozdysponowano kwotę.....21849,58 zł

Ponad 3800,- zł zostanie przekazane na realizację akcji charytatywnej w 2022 roku

Niewykorzystanie środków wyniknęło z faktu braku możliwości zawiadomienia lub dotarcia do ponad 20 osób.

We Lwowie pomocą służyła siostra Grażyna, która użyczała swój samochód a także rozwodziła naszą pomoc świąteczną do osób, którymi sama na co dzień zajmuje się.

Organizacja pomocy we Lwowie polega na zawiadomieniu wszystkich podopiecznych o naszym przyjeździe oraz dyżurze, jaki po wcześniejszym uzgodnieniu z proboszczem kościoła św. Antoniego jest pełniony dla tych osób, które mogą przybyć same. Dyżur taki trwa ok. 4 godzin i w tym czasie można kilkadziesiąt osób obsłużyć.

Do pozostałych, po dokonaniu analizy lokalizacyjnej, dociera się w większości samochodem lub pieszo w najbliższej okolicy centrum miasta.

Przekazanie darów do Szczerca oraz Strzałkowic odbyło się poprzez zaproszenie przedstawicieli tych środowisk do Lwowa, gdzie dokonano wypłat oraz przekazano artykuły do paczek dla dzieci na dzień św. Mikołaja.

Nastąpiło bardzo duże spustoszenie na liście naszych podopiecznych spowodowane śmiercią, a także opuszczeniem swoich dotychczasowych miejsc pobytu. Do wielu podopiecznych nie można było się dodzwonić, prawdopodobnie z rezygnacji z posiadanych dotychczas numerów stacjonarnych. Ze względu na szczupłość osób obsługujących nie można było sobie pozwolić na osobiste odwiedziny i sprawdzenie przyczyn braku odzewu. W następnym roku przewiduje się większy udział naszych wolontariuszy, którzy wszystkie te adresy osobiście sprawdzą.

Na początku września 2021 roku lista nasza dotychczas aktualna na koniec 2019 roku liczyła 129 podopiecznych.

do listopada 2021 roku zmarły	22 osoby
zmiana miejsca pobytu	4 os.
skreślono z innych powodów	4 os. głównie zmiana statusu
brak kontaktu (do wyjaśnienia)	12 os.

brak możliwości i czasu na dowieszenie 8 osób
wypłacono pomoc świąteczną dla 79 os.

Duże znaczenie miał fakt, że spotkanie z podopiecznymi odbywało się przez osobisty z nimi kontakt i ciepłą rozmowę. Takie rozmowy czasami trwały długo, co w dużym stopniu było bardzo przychylnie przyjęte. Zwiększenie liczby wolontariuszy jeszcze bardziej usatysfakcjonuje naszych podopiecznych. Jednocześnie biorąc pod uwagę fakt tak znacznej liczby osób, które ubyły w 2020/2021 roku przewiduje się rozszerzenie listy i zwiększenie liczby podopiecznych w 2022 roku do 110-120, co uzależnione będzie od wielkości środków finansowych. Podczas pobytu oraz na adres towarzystwa wpłynęły już nowe wnioski ze Lwowa.

Jak zawsze dotychczas podczas pobytu odwiedzaliśmy nasze polskie środowiska Polaków – „Kurier Galicyjski”, organizacje polskie we Lwowie, a także spotkaliśmy się z przedstawicielami Szczerca i Strzałkowic.

XXXVII Akcja Charytatywna przeszła już do historii.

Przygotowując kolejną akcję w roku 2022 należy dążyć do zwiększenia liczby naszych podopiecznych, jak również zrewaloryzowania kwoty świątecznej pomocy.

W imieniu Zarządu pragnę gorąco podziękować wszystkim, którzy włączyli się w nasze dzieło pomocy Kresowianom. Dziękuję Dyrektorom Szkół, Nauczycielom, Księżom, młodzieży harcerskiej ZHR i ZHP, wolontariuszom szkolnym i wszystkim za ofiarność oraz pomoc w przeprowadzeniu zbiórek.

Otrzymane ze Lwowa podziękowania z wyrazami wdzięczności od naszych Rodaków pozostają dla nas podstawą do działania, wsparcia, otuchy i zachęty.

Dziękujemy wszystkim, którzy wsparli nas, a za naszym pośrednictwem całą rzeszę Rodaków za wschodnią granicą poprzez wpłaty do Urzędu Skarbowego 1%, wpłaty poprzez „Zrzutkę”, wpłaty na nasze konto bankowe, jak również poprzez puszkę trzymane w rękach naszych kwestujących w mundurach harcerskich jak i szkolnych w marketach, kościołach i innych miejscach. Dzięki szczególne składam młodzieży szkolnej, która za pośrednictwem

zespołów szkolnych wolontariatów w sposób nowatorski włączyła się do realizacji naszych działań.

Podziękowania kieruję również do osób, których środki wpłynęły na konto naszego towarzystwa poprzez wpłaty indywidualne na konto bankowe, do kasy towarzystwa, odpisy podatkowe 1% lub poprzez Zrzutkę.

<u>imię nazwisko</u>	<u>kwota</u>	<u>wpłaty poprzez</u>
anonimowo	200	Zrzutka
Barbara G.	200	Zrzutka
anonimowo	100	Zrzutka
Aleksandra K.-T.	50	Zrzutka
Krzysztof K.	50	Zrzutka
anonimowo	200	Zrzutka
Rafał S.	100	Zrzutka
anonimowo	50	Zrzutka
Tomasz N.	100	Zrzutka
anonimowo	20	Zrzutka
Rafał S.	100	Zrzutka
anonimowo	20	Zrzutka
Renata Z.-W.	500	Zrzutka
Wojciech R.	100	Zrzutka
Order Soft S-ka z.o.o.	2000	Zrzutka
Bożena D.-K.	120	bank
Elżbieta P.	100	bank
Bożena Ł.	200	bank
Tadeusz J.	100	bank G.P.
Gertruda K.	200	bank
Krystyna A.	50	bank
Janusz F.	100	bank
Maria R.	500	bank
Krystyna A.	50	bank G.P.
Adam B.	50	bank G.P.
Stanisława L.	100	bank G.P.

Ewa G.	100	bank G.P.
Stanisław Ł.	200	bank
Stanisław Ł.	400	bank

G.P. – czytelnicy i prenumeratorzy „Głosów Podolan”

Liczymy na dalsze, a nawet większe zaangażowanie się wszystkich środowisk, które tworzyły sztaby zbiórek oraz indywidualnych darczyńców w 2022 roku.

Jednocześnie zapraszam do odwiedzenia naszej strony internetowej www.lwowiacy.pl, gdzie również opisujemy przebieg naszej akcji jak również podajemy możliwości wpłat na organizowaną akcję charytatywną:

- Odpis 1% z podatku przy rozliczeniu PIT za 2021 rok

- Zrzutkę

- oraz na konto bankowe 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Wpłaty prosimy kierować z dopiskiem: **„Akcja charytatywna”**.

Zachęcamy do rozpropagowania zbiórki wśród krewnych, znajomych, współpracowników i wszystkich ludzi dobrego serca dla Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Komunikat ws. statuetki „Semper Fidelis” na rok 2022



Informujemy, że kolejny raz, podczas organizowanych w Poznaniu „Dni Lwowa i Kresów”, wybranej osobie wręczona zostanie Statuetka Lwa, która jest odzwierciedleniem nadania honorowego wyróżnienia „Semper Fidelis”. Statuetka, którą wykonał artysta-plastyk, Jarosław Lebieź, nawiązuje formą do lwów, jakie stały przed wojną na cmentarzu Orłąt we Lwowie, przed pomnikiem Chwały. Statuetkę od ponad 15 lat przyznaje poznański Oddział TMLi-KPW.

Zgłoszenia kandydatów do tego wyróżnienia listownie lub drogą elektroniczną przyjmowane są do 15 kwietnia 2022 r. Prosimy o nadsyłanie na nasz

adres swoich propozycji kandydatów do wyróżnienia, wraz z krótkim uzasadnieniem. Zgłoszenia prosimy kierować na adres podany w stopce redakcyjnej. Szerszych informacji udziela p. sekretarz Wanda Butowska, tel. 508 395 836.

Redakcja

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 155

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 155 brzmi : *Na Podolu biały kamień*. Spośród odpowiedzi poprawnych nagrodę wylosował p. **Zdzisław Steliga** z Wrocławia. Gratulujemy! Rozwiązania haseł kolejno: Unita, Światowid, Szczepan, Grot, Brody, Czortków, Oleśko, Buczacz, Miodobory, Dniestr, Arbuz, Śmigły, Krzywce, KOP, Pieniacka, Strumiłowa, Lipa, Seret, Cieński.

„Na Podolu biały kamień” jest piosenką ludową z woj. tarнопolskiego. Nie udało nam się ustalić autora tekstu ani kiedy powstała. Znana jest także pod nazwą „Podolanka”. Jak większość piosenek ludowych, znane są różne wersje różniące się tekstem jak i liczbą zwrotek. W większości wersji opowiada ona o młodej dziewczynie – Podolance, która z miłości do chłopca truje swego brata, by zyskać miłość chłopca. Przynosi to skutek odwrotny, gdyż chłopiec na wieść o otruciu nie chce mieć z Podolanką nic wspólnego.

Na Podolu biały kamień (2x)	Gdy ja nie wiem jak się truje (2x)
Podolanka siedzi na nim (2x)	Czy się zbiera, czy gotuje (2x)
Przyszedł do niej Podolanek (2x)	Idź do lasu wiśniowego (2x)
Podolanko daj mi wianek (2x)	Zabij węża zielonego (2x)
Dała bym Ci wieniec dała (2x)	Pokrój go na drobniusińko (2x)
Gdybym brata się nie bała (2x)	Ugotuj go mięcusińko (2x) x
Utruj, utruj brata swego (2x)	Wraca braciszek z Kościoła (2x)
Będziesz miała mnie samego (2x)	Co na obiad siostró moja? (2x)

Drobne rybki na półmisku (2x)	Na nic moje przeglądanie (2x)
To dla ciebie, mój braciszku (2x)	Dusza z ciałem się rozstanie (2x)
Ledwie jedną do ust włożył (2x) A	Pisze luba do lubego (2x)
już głowę na stół złożył (2x)	Już utrułam brata swego (2x)
Droga siostró utrułaś mnie (2x)	Jak utrułaś brata swego (2x)
Drogi bracie upił żeś się, (2x)	To utrujesz mnie samego (2x)
weź poduszkę prześpij żeś się, (2x)	Płacze biedna Podolanka (2x)
weź lustro przejrzyj żeś się. (2x)	Ni braciszka, ni kochanka (2x)

